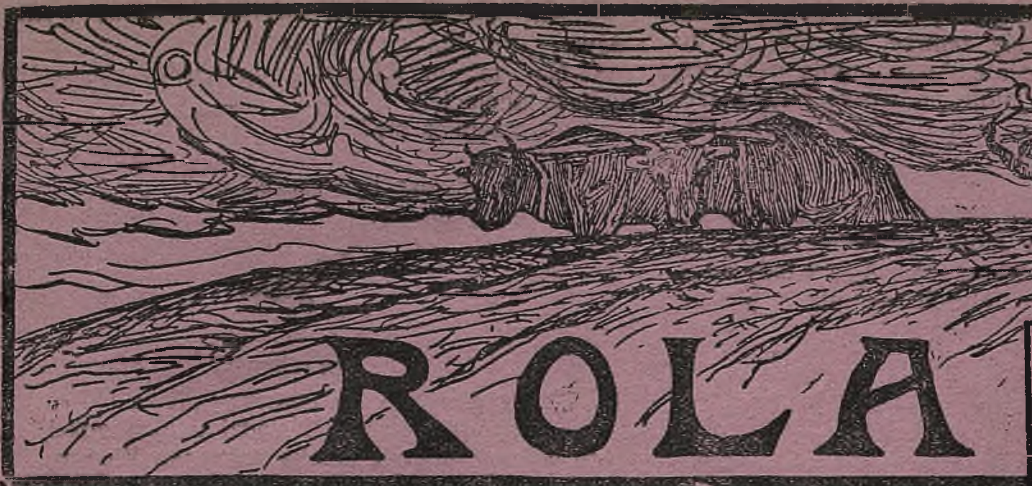
Nr 3. Należytość pocztowa opłacona gotówką. Dnia 13 stycznia 1935



KRAKÓW, ulica Rzeczna L. 13.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Sąsiedzkie pogwarki.

— Ot, życie! — mądrzy się kum Walenty przed sąsiadem: — sąsiadowi się zemrze, zawiozą go na cmentarz, ziele grób obrośnie, krowa moja naźre się tego zielska, przyjdzie na moje podwórko, wywnętrzy się, a ja wtedy spojrzę na ten nawóz i powiem: oj kumo, a toście się zmienili!

Na to kum Maciej:

— Tak, tak, sąsiedzie kochany; i wam się zemrze i na waszym grobie moja krowa też trawy się naźre i przyjdzie na podwórko i też... A ja wtedy spojrzę i powiem: „oj, kumie, aleście się nic a nic nie zmienili!"



Amerykańskie małżeństwa.

Państwo wybierają się na ślub znajomych. Pani stroi się zwolna, poprawia fryzurę, pudruje się...

Pospiesz się, kochanie, mówi pan. Jeżeli się będziesz tak guzdrała, to przyjedziemy już na rozwód.

Niebezpieczne żądanie.

Mąż czyta gazetę. Żona chodzi naokoło stołu i rżnie mu kazanie. Wreszcie woła:

— No, no, zrozumiałeś, łajdaku jeden?

A mąż na to:

— Nic a nic nie słyszałem, bom czytał. Wiesz, co, kochanie, zacznij na nowo.

Czysta sprawa.

Adwokat depeszuje swemu klientowi wyrok sądowy: „Prawda zwyciężyła".

Na to przychodzi odpowiedź: „Natychmiast wnieść apelację".

— Ożeniłeś się?

— Tak.

— To musisz być szczęśliwy?

— Tak, muszę.

Uprzejmość.

Rzecz dzieje się w teatrze; śpiewa sławny tenor. Gdzieś w trzecim rzędzie siedzi dwóch gości, z których jeden namiętnie słucha śpiewaka Kiepurę, a drugi, równie namiętnie wyraża na głos swoje zachwyty na temat głosu Kiepury. Pierwszy gość jakiś czas wytrzymuje, wreszcie zniecierpliwiony mruczy:

— Psiakrew, że też tacy idjoci mogą być na świecie!

Na te słowa drugi gość czerwienieje jak indor i pyta:

— Przepraszam, czy pan coś o mnie powiedział?

— Ależ nigdy, proszę pana — odzywa się pierwszy — ani mi to w głowie... Ja myślałem o tym idjocie, który przeszkadza mi słuchać pana...

Skóra.

U pewnego lekarza leży przed biurkiem wspaniała skóra niedźwiedzia.

— Ciekawe, czy to jest trofeum myśliwskie naszego gospodarza? — rozmyśla na głos jeden z gości.

— Niemożliwe — odpowiada inny. — Nasz doktór drze skórę tylko z pacjentów.

Numer 3. Wychodzi rok XVIII. Kraków, dnia 13 stycznia 1935.



KRAKÓW,
ulica Rzeczna
L. 13.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1935: Rocznie 12 zł., półrocznie 6·40 zł., kwartalnie 3·30 zł.; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz Półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr., — Do Ameryki rocznie 3 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ul. Rzeczna 13.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868

Przyczyna zdenerwowania

Najbardziej bodaj charakterystyczną cechą życia współczesnego jest to, że wymaga ono od człowieka ogromnego nakładu energji nerwowej Większość ludzi jest ze swego losu niezadowolona, odczuwa lęk przed jutrem i wskutek tego żyje w stanie ciągłego podrażnienia nerwowego, które bardziej wyczerpuje, niż najcięższa praca. Niektórzy uciekają się do alkoholu, albo — co gorsze — do narkotyków, byle tylko znaleźć zapomnienie i płacą zdrowiem za chwilę ułudy.

Nic więc dziwnego, że ten i ów się załamuje. Maltretowany bez litości układ nerwowy, zaczyna dopominać się o swoje prawa. Zjawia się uczucie zmęczenia, które nieustannie wzrasta i towarzyszy człowiekowi we wszystkich jego czynnościach; odpowiednio do tego wzmaga się również potrzeba wypoczynku, przedewszystkiem zaś snu. Jednakowoż sen nie zawszę przychodzi na zawołanie, a najczęściej zawodzi właśnie wtedy, gdy jest najbardziej pożądany. Dlatego też coraz więcej osób zgłasza się u lekarzy ze skargami na bezsenność i nie bez słuszności określił niedawno jeden z wybitnych lekarzy „walkę o sen", jako znamię czasów dzisiejszych. Bo rzeczywiście ilość ludzi, cierpiących na bezsenność zwiększa się zastraszająco tak na wsi jakoteż i w mieście. Zagadnienie snu, które od niepamiętnych czasów zajmowało umysły różnych lekarzy, staje się obecnie zadaniem bardzo piekącem ze względu na obecną dobę większego podrażnienia umysłów ludzkich w obawie o swoje jutro.

Sen — to wypoczynek. Gdy zasypiamy, kora mózgowa — siedlisko świadomości — traci w większym lub mniejszym stopniu zdolność reagowania na bodźce zewnętrzne jak światło, dźwięk, zapach itp. Jesteśmy wtedy niejako odcięci psychicznie od świata zewnętrznego. Jednocześnie słabnie napięcie mięśni całego ciała, temperatura opada, akcja serca ulega zwolnieniu, źrenice się rozszerzają.

Słowem — najbardziej zupełne odprężenie, jakie się da wogóle wyobrazić u człowieka żywego.

W trosce o swoje jutro popadamy w stan zdenerwowania, czyli że nasz organizm popada w stan pewnego zatrucia (toksyny), podobnie jak pijak, który organizm swój zatruwa alkoholem.

Podobnie jak u pijaka lekarstwem na zatrucie alkoholem bywa sen — tak i u ludzi zatrutych zdenerwowaniem, czyli zatrutych przez toksynę — sen bywa niejako odtrutką, który każdy wedle możności w jak największej ilości stosować powinien. Wszystkie objawy snu są wyrazem wzmożonej czynności określonej części układu nerwowego, która w pewnych chwilach obejmuje władzę nad całokształtem spraw życiowych ustroju i nastawia go na wypoczynek. Sen nie jest zatem stanem biernym, lecz czynnym procesem fizjologicznym.

Dokonywa się on w mniej lub więcej regularnych odstępach czasu, pod wpływem podrażnienia odpowiedniego środka w mózgu przez pewne bodźce wewnętrzne.

Przy leczeniu bezsenności odgrywa główną rolę: regulowanie trybu życia, wykluczenie szarpiących nerwy rozrywek, zapobieganie nadmiernemu zmęczeniu, oraz perswazja i ułatwianie zasypiania zapomocą takich zabiegów, jak np. liczenie, stopniowe przyćmiewanie światła itp. Środki nasenne schodzą na plan drugi. Stosujemy je tylko w razie koniecznej potrzeby, działanie ich bowiem jest przemijające, a wywołany przez nie sen nie może całkowicie zastąpić snu naturalnego.

LEONARD SOWIŃSKI.

Nadzwyczajne, przygody pana Chorążyca.

(Powieść historyczna). (Ciąg dalszy).

— To za pozwoleniem j. w. pana rozbójnicy. Oni gotowi zarżnąć człowieka, ażeby z niego ostatni grosz wydrzeć, a potem przepić w miasteczku. Ja ich znam... Szczególniej młodszy, pan Paweł, to istny djabeł, a może i gorszy od djabła.

— Co mi tam bajesz? — odparł niechętnie Chorążyc. — Zresztą ja się nikogo nie lękam. Dziękuję ci jednak za dobre chęci — i wsunął mu w rękę dukata. — Idź z Bogiem.

Po chwili ukazał się Czały z szynką i ze serami pińskiemi, do których dodał tuzin naprędce ugotowanych jaj i masła, przywiezionego przez Moszka.

— Nie wiesz, czy jest kto w domu? — zapytał go pan, zabierając się do śniadania.

— Ani żywej duszy, oprócz starej wiedźmy, która im usługuje i jeść gotuje. To cały ich dwór. Stary pan jeszcze do świtu poszedł do pieca smolnego, a synowie błąkają się widać ze szturmakami po lesie, bom zdaleka słyszał strzały.

— Jak myślisz? — odezwał się Chorążyc po chwilowem milczeniu — co teraz nasi tam robią?

— A cóż, pan ogląda, czy wszystko w porządku we dworze; pani w garderobie dziewczętom robotę naznacza, a panienka w ogrodzie kwiaty polewa.

Zadumał się tęskno Chorążyc... W jednej chwili opuścił go i humor i apetyt. Szanując smutek panicza, zamilkł także i Czały. Nie wytrzymał nareszcie.

— Wszystko się dobrze skończy, paniczu — rzekł głosem pełnym otuchy — byleby czemprędzej z tej wilczej jamy się wyrwać... Serce moje przeczuwa tu coś niedobrego.

— Skąd ci takie myśli przychodzą?

— Podpatrzyłem ja wczoraj — mówił Czały — niektóre rzeczy: Stary tylko pieniądze liczy, gdy myśli, że nikt go nie widzi, a tymczasem synowie podglądają go przez rozmaite otwory w ścianach, które, jak widać, poprzewiercali sami, a potem naradzają się pomiędzy sobą cicho tak, że zdają się lękać, ażeby ich Pan Bóg nie podsłuchał.

— I mnie się tu nie podoba i to i owo — odrzekł Chorążyc — ale cóż robić?... Jeżeli będziemy mogli odwrócić jakie nieszczęście, to dobrze, a nie, to niech się dzieje wola Boża!

Wtem Mostowniczy wszedł do ogrodu. Ubrany był tak samo, jak dnia poprzedniego. Na widok jego Czały usunął się przezornie z zaledwie nadpoczętem śniadaniem.

— Wybacz, kochany Chorążycu — zawołał stary kutwa — żem dotąd nie powitał ciebie. Pracować muszę od świtu do późnej nocy. Zapewne nie posiliłeś się jeszcze?

— I owszem... pozostało mi z podróży trochę zapasów, więc pośniadałem.

— A! to dobrze. My objadujemy wcześnie, więc obchodzimy się zwykle bez śniadania. Przychodzę właśnie po ciebie, ażebyś podzielił z nami skromny objadek... służę.

Gdy weszli do środkowego pokoju, obaj nemrodowie byli już tam obecni.

Skinęli tylko na powitanie gościa głowami, ale tego z ich strony było już wiele.

— Upolowaliście cokolwiek? — zapytał ojciec.

— Djabła starego! — odpowiedział Grześ niezbyt grzecznie.

— Chwała Bogu i za to... Ojciec niebieski będzie miał o jednego nieprzyjaciela mniej — odrzekł stary, wznosząc oczy ku pułapowi.

W tej chwili brudna, potwornie brzydka baba, cała w łachmanach, wniosła dymiącą się misę glinianą i postawiła ją na stole, gdzie stały już cztery mniejsze miseczki z drewnianemi łyżkami i leżał bochen chleba czarnego a ościstego. Co do nożów, każdy z biesiadników posługiwał się własnym, który nosił przy sobie.

Wszyscy zasiedli do tej spartańskiej polewki, która była niczem innem, jeno wywarem owsianym bez najmniejszego śladu okrasy.

— Nie zepsułoby tej zupy trochę wędliny?... jak myśli wujaszek? — zapytał Chorążyc.

— Dobre miewasz pomysły, kochany Podolaku — odpowiedział kutwa — ale nas nie stać na to.

— Napomknąłem o tem dlatego, że sam mogę służyć całemu towarzystwu specjałem, o którym wspomniałem. Zostało mi go jeszcze trochę z podróży.

Czały oczekiwał w przedpokoju na rozkazy pana i dlatego wędlina zjawiła się niebawem po obietnicy.

Grześ pochwycił ją z rąk kozaka i zaczął krajać dla siebie; wydarł mu ją następnie Paweł tak, że już szczątki prawie dostały się Mostowniczemu.

Na właściciela szynki nikt nie zwracał uwagi.

Na drugie danie stara wiedźma przyniosła smaczną, samą przez się, ale bez żadnych przypraw ugotowaną rybę.

Dzięki przezorności Czałego, Chorążyc mógł zaspokoić głód poobiedni w ogrodzie.

Odtąd bohater nasz został, rzec można, karmicielem swej poleskiej rodziny. Z wiktuałów dostarczanych przez Moszka, korzystali przy każdej zręczności nietylko Grześ i Pawełek, ale i sam Mostowniczy, który zwąchawszy pismo nosem (a raczej woń gęsi pieczonych), coraz częściej zaglądał do pokoju gościa swojego i zasiadał do stołu zastawionego jadłem z taką swobodą, jak gdyby wszystkie owe przysmaki przechodziły przez kuchnię jego, były ofiarą jego gościnności. Nie odstręczały go bynajmniej miny niezbyt przyjazne, które za wejściem jego wykrzywiały oblicza synów, ani docinki, któremi karcili łakomstwo ukochanego ojczulka... wszakże uszczuplał cząstkę ich łupu.

Pewnego dnia, kiedy wszyscy pożerali indyka, przywiezionego przez Moszka, Paweł odezwał się zjadliwie:

— Ale tatko zapomniał o wigilji dzisiejszej, którą obchodził tak skrupulatnie od lat czterdziestu.

— Nie ma dziś żadnej wigilji — odrzekł Mostowniczy, dojadając udo indyka. — Jutro mamy Jana Gwalberta opata, a opaci dobrze zwykle jadają... my więc grzeszni możemy sobie pozwolić... a zresztą nie każę dzisiaj robić objadu, będzie więc kwita z byka za indyka.

— Kaszę na wodzie za indyka — poprawił syn.

— Czemu to ojciec nie został opatem pierwej, nim się ożenił? — zagadnął Grześ, nie rozjaśniając ani na chwilę posępnego wyrazu twarzy.

— Nie miałbym takich miłych synaczków, jak wy jesteście — odpowiedział stary ze słodziutkim uśmiechem.

Waśń pomiędzy synami a ojcem trwała bez przerwy, a nawet coraz więcej się zaostrzała. Chorążyc unikał, ile możności, scen, które go przejmowały grozą i wstrętem.

Stosunki jego samego z osobami, składającemi rodzinę, dzięki utrzymywanej przezeń uprzejmej roli „karmiciela“, były dość znośne. Podchwytywał on wprawdzie nieraz wyraz zawiści w rysach krewniaków, kiedy oglądali suknie i klejnociki, pozabierane przezeń z domu, ale nie długo zastanawiał się nad tem.

Raz tylko zaniepokoił go płomień, który zabłysnął w źrenicach braci na widok sakiewki z dukatami, leżącej na stole. Wstydząc się za nich uczucia, które zażegnało ów płomień, usiłował skierować je na drogę niewinniejszą.

— Czy nie macie jakich potrzeb gwałtownych? — zapytał. — Możeby im zaradziło kilka dukatów?

— Przydałyby się one rzeczywiście — odrzekł Grześ.

Chorążyc wyjął z sakiewki dziesięć czątych i podzielił je pomiędzy braci, lecz tego samego dnia jeszcze rzekł do Czałego, podając mu trzos, otrzymany od ojca.

— Noś to przy sobie... mniej kłopotu mieć będę.

Czały zrozumiał myśl pana, lecz nie zrobił żadnej uwagi i wziąwszy trzos, przepasał się nim pod szarawarami.

Czasami towarzyszył Chorążyc braciom w ich wycieczkach porannych. Czały, wezwany, czy niewezwany, nigdy nie odstępował „panicza“, a chociaż Poleszukom widocznie się to nie podobało, protestować nie śmieli.

Tymczasem tęsknota i żal za domem, jak dzięcioł, dłubiący korę, uparcie, jednostajnie pukały w sercu bohatera naszego. Codzień, co godzina, co chwila, prawie oczekiwał jakiejś wiadomości od rodziców lub siostry, choć wiedział, że łudzi się tylko naprożno, albowiem wszelka komunikacja z rodziną zagrażała odkryciem chronienia jego.

Mijały dnie i tygodnie i żadna wieść nie przedarła się z Podola, do posępnej puszczy poleskiej. Rezygnacja wygnańca się wyczerpała. Pewnej nocy rzekł do leżącego nieopodal od siebie Czałego:

— Słuchaj, chłopcze! potrzeba, ażebyś pojechał do Busiówki. Wyruszysz jutro przed świtem. Listu żadnego ci nie dam, bo może cię tam kto przyłapać na drodze. Postaraj się koniecznie zobaczyć mamę lub Zosię, dowiedz się, co się tam dzieje w domu, czy wszyscy zdrowi, jak stoi sprawa moja o zabójstwo Miecznika. Strzeż się tylko, ażeby nikt, czy z domowych, czy z obcych, w Busiówce i w okolicy, nie widział ciebie.

— Już ja dam sobie radę — odrzekł Czały — ale jakże paniczowi tu będzie jednemu?

— Nie lękaj się o mnie... Zresztą ja myślę przez cały czas nieobecności twojej, która potrwa przynajmniej cztery tygodnie, zabawić gdzieindziej, nie w Buksztyniczach. Z pieniędzy zatrzymaj przy sobie pół setki dukatów na wszelki przypadek... może ci koń padnie w drodze... resztę mnie oddasz.

— Słucham panicza.

Nazajutrz, kiedy Mostowniczy i obaj synowie jego stawili się na wódkę i przekąskę, co weszło już w zwyczaj i było jakoby obowiązkiem gościnności z ich strony, Chorążyc odezwał się od niechcenia:

— Zamierzam pojechać do miasteczka, a stamtąd zrobić parę wycieczek w okolicę, ażeby się lepiej z Polesiem zapoznać. Manatki moje zostawiam, panowie bracia, pod waszą pieczą.

— A czy prędko zamyślasz wrócić? — zapytał Mostowniczy.

— Na pewno nie wiem... W każdym razie nie wcześniej, niż za dni pięć, lub sześć.

— Tęskno nam będzie bez ciebie — rzekł stary, rozżalając się w myśli nad straconemi przez cały ten czas śniadaniami i podwieczorkami.

Gęś swoim porządkiem ulotniła się, jak gdyby po zarżnięciu i po upieczeniu na nowo odrosły jej skrzydła.

— A więc pożegnam wujaszka i panów braci — rzekł Chorążyc, powstając od stołu. — Koń mój już okulbaczony... Czałego wysłałem przodem.

Całe towarzystwo przyjęło pożegnalne uściski dość przyzwoicie.

Po drodze Chorążyc zatrzymał się we wsi, ażeby pomówić z Moszkiem i rozpytać go o dalszą drogę.

Skoro tylko stanął przed karczmą, arendarz wybiegł na próg, potrząsając jarmułką, kłaniając się aż do ziemi koniowi raczej, niż panu.

Trzymał się jednak opodal, gdyż „Piorun“ nie budził w nim zaufania.

— Witam j. w. pana... Dokąd to j. w. pan się wybrał? — zapytał uniżenie.

— Dzisiaj wyprawiłem kozaka mojego na Podole i nie chce mi się samemu jednemu zostawać w Buksztyniczach. Wyjeżdżam na kilka tygodni, ale nie mów tego nikomu. Gdyby który z panów Buksztów dopytywał się o mnie, powiedz, że ci mówiłem, jakobym zatrzymał się w najbliższem miasteczku... i nic więcej.

— Niech j. w. pan będzie spokojny. Bardzo dobrze j. w. pan zrobił, że wyjechał... tym ludziom wierzyć niebezpiecznie. Widywano ich ostatniemi czasy w lesie i po drogach z bardzo strasznymi ludźmi.

— Strach ma wielkie oczy — odrzekł Chorążyc z uśmiechem.

— Nu! to prawda, że ja się ich boję gorzej, niż djabła samego. A czy wolno wiedzieć, dokąd j. w. pan jechać zamierza?

— Może aż do Słucka pociągnę. Chciałem właśnie rozpytać się ciebie o drogę.

Żyd nie omieszkał udzielić Chorążycowi najdokładniejszych a nawet drobiazgowych wskazówek, gdzie nocować ma, gdzie popasać i t. p., wkońcu dodał:

— Ja tu będę miał oko na dwór, gdyby cokolwiek zaszło, co mogłoby obchodzić j. w. pana, zaraz dam znać przez pocztę pantoflową.

— Dziękuję ci, Moszku. Gdyby kozak mój uprzedził mnie z powrotem, niech wyjedzie na spotkanie moje do miasteczka i oczekuje tam na mnie.

— Wszystko zrobię, co j. w. pan rozkaże. Bodajby takich panów jak najwięcej było na świecie.

— Bądź zdrów, Moszku.

— Niech j. w. pana Pan Bóg prowadzi!

IV.

Pewnego pięknego dnia, przy końcu sierpnia 174... roku, u furty bernardyńskiego klasztoru w Słucku, stanął bujny, wielce urodziwy młodzieniec, lat dwudziestu pięciu i zapytał braciszka, który się zjawił na odgłos dzwonka, czy można się widzieć z O. Gwardjanem.

— A czegóżby nie? — odrzekł tłuściutki furtjan z dobrotliwym uśmiechem. — Nasz O. Gwardjan nikomu nie odmawia dostępu do siebie. Wojewoda, czy ubogi szaraczek, włościanin, żebrak, żyd nawet, w każdej chwili może zakołatać do niego. Dopiero właśnie powrócił z nieszporów i jest obecnie w celi swojej. Proszę jegomość za mną.

Cela O. Gwardjana nie różniła się niczem od innych, których drzwi wychodzące na długi kurytarz i po większej części pootwierane, pozwalały przychodniowi zaglądać do ich wnętrz ubogich, lecz schludnych. Była tylko nieco obszerniejszą od swoich siostrzyczek i zdobił ją przybity do ściany duży, hebanowy krzyż z marmurowym, pięknym Chrystusem włoskiego dłuta.

O. Gwardjan słuszny, czerstwy, lat sześćdziesięciu mężczyzna, powstał z wąskiej, okrytej dywanikiem kanapki i stanął na środku celi.

— Proszę! — odezwał się głośno.

Na progu ukazał się przybyły.

— Laudetur Iezus Christus!

— In secula seculorum... Proszę usiąść — rzekł O. Gwardjan, wskazując gościowi kanapkę.

Ale Chorążyc nie ruszał się z miejsca. Ucałowawszy rękę księdza, rzekł cichym, stłumionym głosem:

— Ojcze! ośmielam się zanieść do was gorącą prośbę. Jestem wielkim grzesznikiem... Chciałbym pojednać się z Panem Bogiem, dlatego postanowiłem poświęcić kilka tygodni ćwiczeniom nabożnym, a następnie oczyścić ducha spowiedzią. Nie odmówcie mi, ojcze, celi w swoim klasztorze, ażebym dokonał zamierzonego dzieła. Do reguły klasztornej zastosuję się z całą ścisłością.

— Moje dziecko — odrzekł Gwardjan — dom to nie mój, ale Boży, a Bóg nie zamyka drzwi przed tymi, którzy przychodzą do niego z korną myślą i sercem skruszonem. Przyjdź, kiedy chcesz... podzielimy się z tobą chlebem codziennym, a do ciebie będzie już należało zapracować na wieczny.

Chorążyc jeszcze raz ucałował rękę starca.

— Masz konie swoje? — zapytał Gwardjan, przybierając ton poufały i dobroduszny.

— Mam, ojcze, wierzchowca, ale zostawię go w zajeździe.

— Po co? Wszak tu, obok kwestarskich stać może... Nie bój się, nie schudnie, chyba spoważnieje w skromnem towarzystwie. On nie ma potrzeby oddawać się rekolekcjom i umartwieniom. Jest to anima vilis.

I staruszek zaśmiał się jowialnie.

Od tego dnia Chorążyc rozpoczął rekolekcje w klasztorze, a raczej ostrą pokutę z modlitwą, postem, czuwaniem, a nawet dyscypliną i leżeniem całemi godzinami krzyżem w kościele. Był to syn wieku swojego, młodzieniec gorącej wiary i pobożności wielkiej.

Miał przytem serce miękie i myśl o krwi przelanej, o osieroconej z winy jego rodzinie była dlań żądłem nieustannej zgryzoty i boleści. Do kogóż miał się udać, ażeby ulżyć sumieniu swojemu? Czy do rozumu zimnego, któryby mu powiedział, że został zabójcą we własnej obronie? Ale w przykazaniach Bożych nie zmieniło to ani na jotę rozkazu: „nie zabijaj!“ a przed wyobraźnią zawsze ukazywałaby się zakrwawiona postać Miecznika z niemym wyrzutem na ustach: „Tyś mnie pozbawił życia, kiedy ja sam byłem w stanie śmiertelnego grzechu, w gniewie, z zamiarem mordu w myśli, z uczuciem zemsty w sercu... Tyś mi odebrał sposobność skruchy, żalu za grzechy, spowiedzi i pokuty...“ Myśli podobne jeżyły Chorążycowi włosy na głowie, chwilami wpadał w rozpacz, która mu zohydzała życie i przyszłość całą.

Droga, którą obrał bohater nasz celem wyjścia z tej duchowej przepaści, okazała się nieomylną.

Po każdej modlitwie, poprzedzonej srogiem umartwieniem ciała, w sercu jego wzrastała otucha i spokój słodki, choć tęskny .Nie rozumował on wcale i nie tłumaczył się przed sobą z grzechu, który popełnił, ale z uczuciem niewysłowionej rozkoszy pochłaniał całą duszą balsam spływającego w nią przebaczenia. Było to uczucie błogie i święte zarazem, najwonniejszy kwiat ducha, który tylko w łonie chrześcijanina, bolejącego nad obrazą Ojca Niebieskiego wykwitać może.

W kilka tygodni potem, kiedy po oblanej łzami spowiedzi, odchodził Chorążyc od stołu Pańskiego, uczuł się znowu lekkim, swobodnym, z takiem rozpromienieniem, z taką pogodą w duszy, jaka połyskuje tęczowemi kroplami na drzewach i kwiatach po ulewnym deszczu wiosennym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Połów śledzi.



Niewielki pas wybrzeża morskiego posiada Polska, a jednak korzyści z tego wybrzeża posiadamy kolosalne. Oto tysiące beczek pożywieuia mamy własnego, niepotrzebując go z zagranicy sprowadzać i płacić za niego złotem.

W jesiennym sezonie połów śledzi był nader obfity na morzu Bałtyckiem. Dowodzi tego chyba najwymowniej bardzo wielka ilość beczek naładowanych śledziami w Gdyni, które są już przygotowane do transportu w głąb Polski.

Największe połowy śledzi, o ile morze jes spokojne, bywają w miet siącu lutym.

I tym zima dokucza.



Na naszym obok zamieszczonym obrazku widzimy, dwa piękne odyńce które, zabrnąwszy niemal po brzuchy w śnieg, stoją zafrasowane. Śnieg, który obficie przykrył ziemię, uniemożliwił i tym zwierzętom wyszukania żołędzi lub tym podobnych leśnych owoców, któremi dziki się w zimie żywią, bo innego zielonego pożywienia w lesie znaleźć się nie da. Zmuszone głodem, wychodzą do wsi na pola i ryjąc, wyszukują pod śniegiem oziminę, czyniąc przez to ludności szkodę nieraz bardzo dotkliwą.

Obfity śnieg bardzo jest pomocnym w knieji. Zdarza się, że ogromny odyniec, ruszony z legowiska przez psy, staje w obronie życia swego i w pierwszej chwili odnosi zwycięstwo; jeden brytan rozpłatany potężnemi kłami leży już na wpół martwy, drugi zastraszony smutnym losem towarzysza, cofa się i nie śmie atakować zbyt śmiało, nie śmie zbliżać się do potwornej paszczy, która jednym ruchem może go powalić i zabić. Nie długi wszakże triumf bestji, wkrótce nadbiegnie gromada psów, rzuci mu się na kark, uchwyci za uszy, osadzi, a kula przez celnego strzelca wymierzona, dokona reszty. Niebezpieczny to zwierz, zwłaszcza gdy raniony w wściekłość wpadnie, wówczas nie ma żartów, słusznie też dawni myśliwi, którzy z oszczepem w ręku wychodzili na grubego zwierza i narażali się na wielkie niebezpieczeństwa w tych łowach, stworzyli przysłowia: „gdy na niedźwiedzia idziesz — szykuj łoże, gdy na dzika — mary".

Jak dawniej ucztowano?

Podziw w połączeniu ze wstrętem ogarnia współczesnych przy opowiadaniach o ucztowaniu w starożytności i wiekach średnich. Rozum nasz istotnie ma prawo dziwić się obfitości, w jakiej przodkowie nasi sprzątali z mis przeróżne mięsiwo i smakołyki. Było to jednak powszechne, a i ludzie tamtejsi żyli w odmiennych warunkach.

Jednym z najdziwaczniejszych bez kwestji zwyczajem u Rzymian bogatych, z czasów upadku już państwa rzymskiego, było podawanie dzika w całości upieczonego, każdemu z biesiadników zosobna, ale ów dzik był z jednej strony gotowany, z drugiej pieczony, aby trafić do gustu chwilowego konsumenta. Były wszakże stoły magnackie, na których niewolnicy stawiali przed każdym dwa całe dziki, z których jeden był gotowany, drugi pieczony.

Wielki zbytek, z największą połączony wytwornością kulinarną, polegał na raczeniu gości językami papuziemi. Pewnego razu na uczcie u Lucjusza Nerona podano języków tych 5.000, co oczywiście wyobrażało takąż samą cyfrę zabitych w tym celu papug. Przyboczna gwardja wyższa Heliogabala dostawała nierzadko takie specjały, jak mózgi strusie, bażancie, kuropatwie i t. p. Groszki podawane na stół tego cesarza były mieszane pospołu z ziarnkami złota, a ryż z perłami. Kiedy bawił nad brzegiem morza, nie znosił ryb; gdy w głębi kraju przebywał, podawano mu na stole jego dworzan świeżą ikrę z ryb morskich. Obiad Heliogabala składał się co najmniej z dań dwudziestu, a nierzadko i trzydziestu dochodził! Było galanterją ze strony amfitrjonów ówczesnych obsypywać gości kwiatami, spadającemi z pod uchylonych pował i sufitów; pod koniec uczty, każdy z gości literalnie pławił się w kwiecie, a zdarzały się wypadki, i to dość częste, że w tej kwiecistej kąpieli zasypiał snem wiecznym, wonią kwiatów odurzony.

Innym razem poprzestawano na usypaniu posadzki całej na stopę grubości listkami kwiecia (najczęściej róży), od szypułek oberwanemi. Z róż także i bluszczu uwite wieńce kładziono na głowy biesiadników, co widzimy nieraz i na starożytnych freskach rzymskich i pompejańskich. Wieńce podobne, jak upewniali kompetentni, miały własność niedopuszczać lub rozpraszać nawet upojenie. Taką samą własność szanowną miał posiadać ametyst, stąd zamożniejsi szafowali nim również i zdobili nim wieńce. Niewiasty jednak wieńczyły się tylko różami, ile, że przeciw upojeniu zabezpieczać się nie miały powodu: zwyczaj nie pozwalał im brać wina do ust, przynajmniej publicznie. Róża grała jeszcze inną rolę w ucztach: zawieszano ją zwykle u stropu ponad stołem biesiadniczym, aby przypominała swem bujaniem się, że nie należy opowiadać na zewnątrz o tem, co się dzieje „pod różą".

Rzucano dalej róże do amfor, zawierających wino „Falerno". Fiołki służyły również do zapachniania wina.

Przepiórki były podawane na ucztach bardzo uroczystych. Etykieta wymagała, aby zawsze otaczały je wieńce.

Przepiórka poczytywana była wogóle za główniejszy przysmak wśród ptactwa; w rzędzie czworonogów królował zając. Rzymianie przypisywali zającowi, jako potrawie, największe zalety. Kto go jadał, miał być pełnym wdzięku, pięknym i miłym, a to na cały tydzień; w dodatku sypiać miał też przez cały ten okres, jak król, a z serca jego wszelka troska winna była koniecznie ustąpić.

Zwyczaj ustalił, że uczty rzymskie powinny były zaczynać się od ostryg i jajek, a kończyć się bezwarunkowo na owocach. „Od jajek do jabłek" — mówiono, pragnąc oznaczyć, że uczta już była zupełna.

Wieki średnie odznaczają się również gustami i zwyczajami niedzisiejszemi, w dziedzinie gastronomicznej, a niemniej nadzwyczajnemi. Za Karola V naprzykład jadano między innemi koninę pieczoną, rosoły z jaszczurek i tym podobne specjały. A może kto ciekawy, ilu ten monarcha daniami częstował gości na wystawnym obiedzie.

Były też w owej epoce zwyczaje, bardzo piękne zapewne, choć dziwaczne. Naprzykład wnoszono pewne potrawy, jak bażanta, pawie, na złotych półmiskach i przy fanfarze, którą wykonywał, albo najmłodszy syn gospodarza (o ile był w wieku po temu), albo nawet, w jego braku... córka (!). Procesję tę eskortowali uroczyście pazie z pochodniami. Bażanta, zanim go rozebrano, ustawiano zawsze na chwilę przed damą, uznaną za najurodziwszą; rycerze, wyciągnąwszy nad upieczonym ptakiem ręce, przysięgali nań, że dokonają czynów nadzwyczajnej doniosłości. Potem dopiero szedł ów zaprzysiężony bażant pod noże krajczych.

Na ucztach weselnych, łabędź zastępował zawsze pawia lub bażanta.

Bywało i tak nieraz, że w czterech rogach sali jadalnej, na wzniesieniach, muzykanci przygrywali na rogach, gdy wnoszono świeżą potrawę. Pod koniec zaś uczty, występowali inni śpiewacy i śpiewem swym oraz muzyką uprzyjemniali chwile zebranym, zazwyczaj po najedzeniu się milczącym.

Jakże nasze dzisiejsze obiady i wieczerze nawet podczas uroczystości okazyjnych, różnią się od uczt i biesiad dawniejszych.



MACIEK BZDURA GADA:

— Wis Maciek, — pada raz Walek od Furgacá, — że my oba to jesteśmy stryjecnemi łujkami, a jak nie wierzys, to ci zarusiecko wytłumacę. I tak: Twoja i moja matka, razem ciołki na ugorku pasali; a zasię, moja babka i twoja babka, to byłyby dwie babki...

Na takie Walkowe gadanie to mnie tak zemliło, żem o mało Walka w fujarę nie lunął. Powiadali zawse moja krzesnomatka, że głupi mądremu powinien zawse ustąpić. Tak tyz i ja zrobiłem. Wykręciłem se ino rozeźlonę gębę do Walka i padom: Miałem cię Walek za porzomnego cłeka, ale widzę, żeś gamoń. To, co se o tobie teroz pomyślałem, to się ani jegomościowi na spowiedzi nie przyznom. Wolałbyś se o cem inksem ućciwem gadać i nie psuć świżego powietrza.

Owsem, owsem!, — pada Walek. — Mam ci także i coś inksego do powiedzenia. Jesce dobrze nie zacon mówić tego inksego gadania, jaz tu otwirają się drzwi i włazi nas gminny listonoga. Że wlaz do izby, to jeszce nie śtuka. Najgorsiejse było to, — że mi zostawił jakiesi pismo w sądowej kopercie. Walek obejźroł to na wszyćkie strony i pada:

— Wis Maciek, ze jak cię kocham i sanuję, alebym teraz niechciał być w twoi skórze. To pewnikiem jakiesi zaprosenie do chereśtu.

Juzem tego nijak nimóg ścirpieć, ino z całej siły wyrżnąłem pięścią w stół, że jaz lampa ze ściany zleciała i padam.

— Noi cóz se ty tak dziś na mnie zemby oszcys? Co psiokrew.

— Kto psiokrew, jo psiokrew?

— A ty psiokrew!

Jakem go juz tak na dobre zkunierował, wzionem se capkę i z tem chareśtanckiem listem posedem se do pana profesóra. Profesór przetrajkotał to pismo na poczekaniu i pada:

— Mas Maciek scęście! Pise tu do ciebie jedna panienecka z Zatracony Wsi i prosi, cobyś się tam przyświędał na krzesnołojca do jej brzdąca. Krzciny odbędą się w sam Nowy Rok.

— No, — myślę se, — choć raz, to se pojem jak się patrzy. Z psiej Wółki do Zatracony Wsi jest akuratnie tyle, co z Zatracony Wsi do Psiej Wółki. Krzcinymiały być dopiro za trzy dni, tak bez te trzy dni rychtowałem se wańcioch na same dobre rzecy. Na sam Nowy Rok wysmarowałem se porzomnie buty sadzami i wyświechtał jak się patrzy słomianemi wiechciami. Do łoberoka przycepiłem se zieloną stązecką, przezegnałem się na drogę i wzionem i posedem.

Mikrneńkie toto było straśnie. Tak na upartego, toby to i paznokciem zadusił. A darło się to niescęście, jak jakie stare prześcieradło, ze jaz mnie złości brały. Kiedyśmy się już odrzekli tego wszyćkiego, cego se ino jegomość życyli, tak potem przezwali jegomość tego brzdąca Maćkiem i oblali go wodą, a potem zeby nie spleśniał, nasypali mu jesce soli do gęby z cego ten nowy Maciek dar się jesce gorzej od samego organisty. Z tego wszyćkiego, wzieniśmy i zabraliśmy się do chałpy, gdzie juz krajs-babka przygotowała wszyćko tak, jak się patrzy.

Juz mi się trochę zaceno z głowy kurzyć, gdy przysła do mnie Grzelowa krzesnomatka i ozwarła do mnie straśnie załosną gębę:

— Maciuś, pokrako, a cemus to nic nie jis?

— Jakze to ja mam jeść, padom, jak tu w tej bułce jest pełno karakonów!...

— Maciek, Maciek! fujaro jedna, jakiżeśto głupi!. To nie zadne karakony ino same rodzonki!...

— A ino; padam. Rodzonki cy koconki, to przecie wszyćko jedno, świństwo i tyla.

Takie mnie ztego obrzydzenie wzięno, żem se nieino nic nie pojad, ale jesce to, com wypił, to tyz długo nie usiedziało, ino jesce w drodze za stodołę zawczasu uciekło. Naklątem se ino siarczyście, że mi się potem troskę ulzyło i posedem do swoi chałupy. Że to już była późna noc, tak juz walę prosto do stajni na swoje wyrko.

Jagiem se jus otworzył drzwi do stajni, stało się coś strasecnego. Cało stajnia zacena się kręcić na wszyćkie strony a ino drzwi stały w jednem miejscu, bo ja je mocno trzymałem. Jaz potem jakiesi licho za-

od tyla różności odrzeknąć, a nie pedzieli, coby się odrzeknąć od wszyćkich babów i inksych krzcinów takich, jak w Zatracony Wsi. Jak się której dzieuse przydarzy coś takiego i uwidzi się ji zaprosić mnie na krzesnołojca, to niech mi przyśle poctą taką bułeckę, cobym ją mógł spenetrować, cy tam naprawdę karakonów nima. Co najwyżej, to mogłyby być tam skwarcki albo kiełbasa, a na cem inksem to ja sie osukać niedom i kuniec.

ceno myrdać i drzwiami bez opamiętanio, zem ich nijak utrzymać nimóg. Raz: fajt w jedną stronę, potem: majt w drugą stronę, a późni to juz roz za razem: fajt majt, fajt majt, i jak mnie cosi nie chrymnie pod wyrko, to jazem się zapomnioł i nie prędzej się ztamtąd wygramolił, jaz się zacon dzień robić.

Po tem wszyćkiem, to se tak wymankierowałem, że źle być łojcem, a jasce gorzej krzesnołojcem. Dziwie się ino, lacego to jegomość kazali się w kościele

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Uganda II.

Podobnie jak niemal w całej Afryce tak też i w Ugandzie, — jak to już wspomnieliśmy — wiara w czary i zabobony posunięta jest do ostatnich gra-



Fetysz z Ugandy, odgrywający zarazem rolę kata.

nic. Oto co o tych czarach, zabobonach, a także niewolnictwie, opowiada pewien bogaty Anglik, który tam przez cały szereg miesięcy przebywał:

— Do obsługi — opowiada ów Anglik — nająłem sobie małego murzyna, który, mając wolną chwilę, opowiadał mi straszne swoje przeżycia.

— Byłem jeszcze bardzo mały, opowiadał murzyn — gdy raz wyszedłszy z matką ze wsi na plantacje manioku, prosiłem ją, aby mi pozwoliła pójść do pobliskiego lasu i nazbierać trochę matafi, czyli owoców kauczukowej liany. Idź — odrzekła moja matka — tylko bądź uważny i wracaj prędko. — Pobiegłem więc wesoło, lecz zaledwie zapuściłem się w głąb lasu, gdy trzej nieznajomi ludzie porwali mię, związali i unieśli ze sobą. Nazajutrz zostałem sprzedany we wsi, której nigdy jeszcze nie widziałem. Byłem więc odtąd niewolnikiem i nietylko mię bito, ale i głodzono, nie mogłem zaś nikogo prosić o jadło tak, jak niegdyś prosiłem matkę.

Po niejakim czasie sprzedano mię innemu panu, który był trochę lepszy od pierwszego, lecz nie długo trzymał mię u siebie, tak, że w przeciągu lat dwóch należałem kolejno do kilku wodzów.

Po zgonie żony ostatniego mego pana usłyszałem pewnej nocy rozmowę, którą sądząc, że już śpię, toczono w mej obecności. Wódz mówił do swych krewnych, że skoro księżyc będzie wielki, wówczas utną mi głowę, abym towarzyszył zmarłej do grobu. W parę dni po tej naradzie przybyłeś, Panie na swoim statku; pan mój zaś, zachwycony twemi tkaninami i kolorowemi paciorkami, sprzedał mię z ochotą. Ujrzawszy cię, panie, po raz pierwszy uczułem pewną trwogę na widok twej długiej brody, bo u nas takie brody noszą tylko wodzowie, będący zwykle bardzo złymi. Teraz jednak, cieszę się bardzo, że jestem u ciebie, gdyż nie bywam nigdy głodny, skoro zaś umrzesz, to mię nie zabiją na twoim grobie. — „Dobrze więc — rzekłem do Ilanga, tak mu było na imię, — jeżeli tak lubisz przebywać ze mną, to może zechcesz mi towarzyszyć, gdy za miesiąc wybiorę się do tych samych okolic, w których znalazłem ciebie, aby wykupywać inne dzieci. Prawdopodobnie nawet znajdziemy twą matkę“.

— „Och — odparł mały murzyn — chętnie, bardzo chętnie popłynę na statku, ale — dodał z westchnieniem — nie zobaczę już nigdy mojej matki, gdyż pozostała ona w wiosce, do której twój statek dotrzeć nie zdoła. O ile sobie przypominam, trzeba tam płynąć na malutkich pirogach, a następnie iść przez dwa dni wśród wysokiej trawy, brnac po kolana w wodzie. Tak, popłynę z tobą, ale matki nigdy, nigdy już nie zobaczę!

W miesiąc później Ilanga odpłynął z nami na pokładzie statku, a nawet zaczął usługiwać przy maszynie parowej, wykonywując wszelkie rozkazy ze wzorową dokładnością.

Jednego rana, po nocy spędzonej w pobliżu jakiejś wioski dałem znak do podniesienia kotwicy, wołając: naprzód! lecz Ilanga nie powtórzył maszyniście mego rozkazu, co było jego obowiązkiem. Wołam więc po raz drugi i trzeci, ale napróżno. Zniecierpliwiony zwróciłem się tam, gdzie stał zwykle mój murzyn i znalazłem go jakby przykutego do miejsca, z oczyma szeroko otwartemi i rękami wyciągniętemi do piroga, który szybko ku nam się zbliżał.

— Moja matka! Oto moja matka! — zawołał wreszcie chłopiec rozdzierającym głosem.

Przypomniałem sobie wtedy smutne jego dzieje, które już potrosze ulotniły się z mej pamięci, w nadpływającym zaś pirogu ujrzałem biedną kobietę, której błagalny wzrok zwrócony ku mnie, zdawał się mó-



Palący się szkielet ludzki w puszczy w Ugandzie.

wić: „Ach, pozwól mi przytulić choć raz jeden do serca skradzione moje dziecię!"

Odszedłem o parę kroków, aby ukryć swe wzruszenie, po chwili jednak wróciłem znowu i rzekłem do Ilanga:

— Powiedz twej matce, aby weszła na pokład i weź te dary dla niej przeznaczone.

To rzekłszy, oddaliłem się znowu, ażeby nie być natrętnym świadkiem powitania matki z synem. Niebawem wszakże musieliśmy odpłynąć, ja zaś poczytywałem sobie za obowiązek zwrócić dziecię biednej jego matce.

— Ilango — odezwałem się do chłopca, odprowadzając go na stronę — przed chwilą słyszałem, iż matka zauważyła w tobie bardzo korzystną zmianę, mówiąc, żeś urósł i utył, oraz, że biały musi być dobrym dla ciebie. Tak, powiedz matce, że biały jest dobrym, bo dał ci poznać dobrego Boga, mieszkającego w niebie. Ponieważ zaś Opatrzność pozwoliła ci znaleźć matkę, biały więc nie chce zakłócać waszego szczęścia. Pozostań Ilango z matką i bądźcie szczęśliwi, ilekroć zaś przybędę tutaj, postaram się was odwiedzić, aby zobaczyć, jak się wam powodzi.

— Ach, panie — zawołał Ilanga — nie chcesz więc dłużej mieć mię u siebie! Dlaczego? Czyż w czem zawiniłem?

— Nie, Ilango, nie gniewam się wcale na ciebie, ale ponieważ znalazłeś matkę, powinieneś więc z nią pozostać.

— Chcesz zatem, aby mię zabito? — zapytało dziecię.

— Przeciwnie, Ilango, pragnę tylko twojego szczęścia.

— Ach, panie — odparł chłopak z westchnieniem — spalono naszą wioskę, porwano moją matkę i sprowadzono ją jako niewolnicę. Gdy umrze wódz, do którego należy moja matka, to ją zabiją na grobie pana, jeżeli zaś pozostanę tutaj, wówczas i mnie takiż sam los spotka. Przeciwnie, gdy odjadę z tobą, to mogę być pewnym, że po twojej śmierci nikt mię nie zabije. Nie wypędzaj więc mię, panie!

Nie mogąc ani odprawić dziecka, ani rozłączyć go z matką, nie wiedziałem sam, co począć. Nagle zbawienna myśl rozjaśniła mój umysł. Dowiedziałem się, że ta kobieta była niewolnicą, może więc właściciel zechciałby ją sprzedać i wówczas matka Ilanga zostałaby wolną, oraz na zawsze połączyłaby się z dzieckiem. Kazałem przeto wezwać jej pana. Po niejakim czasie na pokład statku wszedł dziki o złośliwym i przebiegłym wyrazie twarzy.

— Patrz — rzekłem do niego — ofiaruję ci okup, przewyższający o dwakroć wartość tej niewolnicy. Z tobą nie chcę się targować, bierz!

To mówiąc, pokazałem mu rozmaite towary, tkaniny, paciorki, lusterka, błyskotki i narzędzia żelazne, których ogólna wartość wynosiła 300 franków.

— Nie — odparł wódz z szyderczym uśmiechem — za 300 franków jej nie oddam.

— No, to ci dam 400 i zabiorę tę niewolnicę.

— O nie — odparł wódz — nie chcę i 400 franków, niewolnica zaś była, jest i będzie moją.

Zawahałem się na chwilę, nie wiedząc, do czego właściwie dąży ten człowiek.

— Weź 500 franków — rzekłem wreszcie — i rzecz skończona.

— Nie — odparł z szyderczą miną, która mię doprowadziła do rozpaczy — i za 500 franków nie dostaniesz tej niewolnicy.

Z kolei ofiarowałem mu 600, 800, a nawet 1000 franków. Niestety, człowiek, do którego się zwracałem, nieludzkie miał serce. Utkwiwszy więc we mnie dzikie, błyszczące oczy, rzekł:

— Masz dziecię, ale nigdy nie będziesz miał matki. Kiedy umrę, to chcę, by na mym pogrzebie zabito jak najwięcej dorosłych niewolników, więc i ta kobieta musi umrzeć ze mną.

To powiedziawszy, podniósł laskę i uderzył nieszczęśliwą, rozkazując jej niezwłocznie wrócić do domu. Co do mnie, to byłem tak oburzony, że miałem doprawdy ochotę wpakować kulę w łeb tego potwora.

— o —

Na pierwszym naszym obrazku widzimy fetysza z Ugandy, który też odgrywa rolę kata, przy zabobonnych egzekucjach.

Na drugim naszym obrazku widzimy znów dopalające kości ludzkie, a w dali gromadka dzikich murzynów, których wiele plącze się po różnych gęstwinach leśnych Ugandy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JÓZEF MOKRZYCKI.

Złodziej, który nie ukradł

(Przedruk wzbroniony). Powieść. (Ciąg dalszy).

— Jakto niema wyjście! — zawołał żyd. — Ja sprolonguję aż do czasu, jak policja bedźe złapacz zlodzieja. Zaplaci mi pan tylko procent. Nu zgoda?

— A jak go nie złapią.

— To sze niema co obawiacz. — Podwin go już będzie dostać. Ja sze nie boję...

— A jeśli to potrwa dłuższy czas — albo złodziej straci połowę sumy lub ukryje?

— Nu, ja już będę czekać, choćby i dwa lata, a pan mi da procent.

— Więc zgoda! zawołał Rolecki — w takim razie praca firmy pójdzie normalnym torem, a gdyby go nawet nie schwytano, do dwóch lat, potrafimy pokryć tą stratę.

— A widzi pan — odrzekł żyd uradowany — że Rolecki przestał grozić upadłością. — Pan zaraz „upadłoszcz", a tu Goering i bez tego zrobi.

Najwięcej strachu napędzali dłużnicy Goeringowi, gdy mu zagrozili upadłością. Rolecki znając go dobrze, zagrał też na tej strunie, z rezultatem jak najpomyślniejszym. Gdyby nie było kradzieży, a Rolecki nie zapłacił zobowiązania, byłby się żyd upierał i napewnoby zaskarżył pretensję, coby było dla firmy katastrofą, obecnie zaś żyd widząc, że firma prosperuje dobrze, a tylko z powodu kradzieży nie może wypłacić, wierzy, że złodziej zostanie schwytany, a on otrzyma zaraz całą swoją należytość, podczas gdy przy upadłości musiałby się może zadowolić połową, a może nawet jedną trzecią. Tego zaś się obawiał, gdyż za nic w świecie nie chciał stracić. To też gdy Rolecki wyrzekł słowo „Zgoda", żyd zatarł ręce z zadowolenia, a oczy tak mu się zaiskrzyły, jak świeczki szabasowe w złotym lichtarzu.

Podał Roleckiemu rękę na pożegnanie i zapewnił, że będzie czekał tak długo, jak długo złodziej nie zostanie schwytany, a pieniądze odebrane, poczem wyszedł i odjechał autodorożką, która przed Bankiem na niego oczekiwała.

Rolecki po jego wyjściu odetchnął z ulgą. Był pewny, że żyd nie wystąpi ze skargą przed upływem dwu lat, a w tym czasie interesy firmy przyjdą do równowagi i da się wszystko uratować. To najgorsze, — czego się najwięcej obawiał, minęło, teraz uczuł na nowo niezmierną wdzięczność do Wyrwicza, gdyż sam nie byłby nigdy coś podobnego wymyślił, aby tak żyda wyprowadzić w pole. To jedynie napełniało go mimowolnym dreszczem, że Wyrwicz może być złapany, a wówczas wszystko byłoby stracone. Pocieszał się jednak tem, że Wyrwicz jest niezwykle obrotny, i prędko nie da się zjeść policji pomimo nawet zdolności wywiadowcy Podwina.

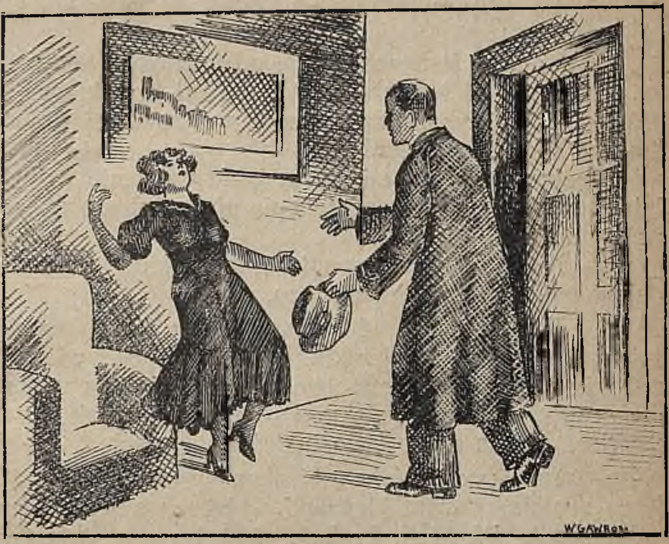
Zadzwonił do komisarjatu policji i poprosił komisarza Rychlińskiego.

— Hallo! tu Rolecki! zawołał, gdy dzwonek się odezwał. — Czy pan komisarz?

— Tak jest! zabrzmiało w aparacie. — Tu komisarz Rychliński.

— Przepraszam bardzo, że pana trudzę, lecz w tych okolicznościach pan wybaczy — chciałem się dowiedzieć czegoś w mojej sprawie, — czy macie już panowie jakiś trop.

— Dotychczas nic panie dyrektorze — odrzekł komisarz. — Złodziej sprytnie się urządził, lecz spodziewamy się, że odnajdziemy trop jeszcze dzisiaj. Sprytny jest z niego lis — lecz i ogar sprytny, który go ściga. Bądź pan dobrej myśli!



— Jezus Marja! — zawołała Alina.

— Bardzo się cieszę, panie komisarzu, — dowidzenia. — Dziękuję — zawołał, wieszając słuchawkę, poczem rzekł do siebie, śmiejąc się: — Rzeczywiście się cieszę lecz z tego, że go nie złapano...

IV.

Panna Alina Różycka powróciła z miasta może w pół godziny potem, gdy Rolecki odjechał. Dozorca zawiadomił ją zaraz o odwiedzinach, co ją mocno zaciekawiło. — Co chciał odemnie dyrektor? — myślała. — Coby to być mogło?

— Czy nie mówił, w jakiej sprawie? zapytała dozorcy.

— Nie śmiałem pytać takiego pana — odrzekł — sam zaś nie mówił nic.

— Hm, hm — a czy nie mówił, żeby się do niego zgłosić, jak wrócę?

— Nic nie mówił, proszę pani! — zdawał się być bardzo zmartwiony.

Pobiegła na górę, i wszedłszy do swego pokoju, rzuciła kapelusz i pled, którym była okryta.

— Hm, coby to być mogło? — mówiła sama do siebie półgłosem. — Czy może coś się stało, bo Staszek wczoraj nie zaglądnął...

Wtem rozległ się odgłos kroków stąpających po drewnianych schodach, a za chwilkę odezwało się lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołała Alina.

Drzwi się otwarły i do pokoju wszedł Podwin. Skłonił się uprzejmie, przyczem obrzucił wzrokiem pannę od stóp do głowy i zapytał:

— Czy mam przyjemność z panną Różycką?

— Tak jest; odrzekła — czem mogę panu służyć.

— Jestem wywiadowcą policji i chcę pannę prosić o pewne informacje.

— O jakież to informacje panu chodzi? — zapytała ze zdziwieniem.

— Przedewszystkiem pozwolę sobie zapytać — zaczął wywiadowca — Czy pani zna Stanisława Wyrwicza, kasjera Banku Rolecki i Ska?

— Tak jest — odrzekła. — To mój narzeczony.

— Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— Co znaczy to pytanie? zawołała urażona i zarazem zaniepokojona. — Zanim odpowiem, pozwolę

sobie zapytać o powód pańskiej wizyty, oraz zadawanie podobnego pytania.

— Więc pani nic nie wie?

— Co mam wiedzieć na Miłość Boską? — Co się stało?

— To pani jeszcze nie wie o kradzieży w Banku?

— O jakiej kradzieży? Mów pan! co? kiedy?

— Tej nocy skradziono z kasy bankowej Roleckiego 100 tysięcy dolarów...

Spojrzał na nią badawczo, jakie wrażenie wywołają jego słowa. Prócz zdziwienia nie mógł nic więcej wyczytać.

— Niech więc teraz pani odpowie, kiedy pani widziała ostatni raz narzeczonego.

— Przedwczoraj wieczorem idąc z biura, wpadł tutaj na chwilkę — odrzekła. — Wczoraj zaś wieczorem nie widziałam go zupełnie. Niechże mi pan wreszcie powie, dlaczego pyta pan o niego? Przecież niemożliwe, by na niego było jakieś podejrzenie.

— Hm, podejrzenie... mruknął wywiadowca. — Kasa została otwarta kluczami, które on zawsze przy sobie nosił. W kasie brakuje 100 tysięcy dolarów, a pan Wyrwicz nie stawił się dziś do pracy. Nie jest to więc podejrzenie — lecz nieomylna pewność...

— Jezus Marja! — zawołała Alina i zachwiawszy się na nogach, runęła na podłogę.

Wywiadowca skoczył, podniósł ją i złożył na sofie, poczem nalawszy do szklanki wody z stojącej na stole karafki, zwilżywszy chustkę, zaczął jej nacierać czoło. Za chwilę westchnęła ciężko i otwarła powoli oczy.

— Niech się pani uspokoi — rzekł po chwili — może skradziono mu klucze, któremi kasę otwarto.

— Panie — to jest niemożliwe! — Zawołała słabym głosem. Stach tego nie zrobił — nie, nie! Onby nigdy nie był zdolny do popełnienia hańbiącego czynu...

Wyrzekłszy te słowa, zaczęła łkać, ukrywszy sobie twarz chustką. Podwin stał chwilę bezradnie, zrozumiał bowiem, że dalsze indagowanie na nic się nie przyda, poznał bowiem, że ona o kradzieży nic nie mogła wiedzieć, że złoczyńca musiał wyjechać z pieniądzmi z miasta, zanim go zaczęto ścigać, a zatem niema co szukać tutaj, ani złodzieja, ani też pieniędzy. Z zachowania się Aliny poznał, że nie była ona spólniczką zbrodni, albowiem zbrodniarze zupełnie inaczej się zachowują. Uczuł nawet litość dla jej boleści, którą jej swem brutalnem wypowiedzeniem się sprawił i zaczął tego żałować.

— Niech się pani uspokoi — pocieszał — może nie jest tak źle, gdyż pan Rolecki twierdzi, że Wyrwicz tego nie zrobił. My zaś szukamy, gdyż to nasz obowiązek, a szukamy tam, gdzie istnieje możliwość. Gdy zatem kasa została otwartą temi właśnie kluczami, które on nosił, a jego samego brakuje w biurze, musimy go szukać, by sprawę wyjaśnić.

— Ach panie! — zawołała, wstając. — Niech pan szuka, niech pan stara się jak najprędzej wyjaśnić tą sprawę. On może popadł gdzieś w jakie nieszczęście, a jabym nie chciała, by chociaż godzinę ciążyło na nim to okropne podejrzenie.

— Będę się starał wyjaśnić tą sprawę, a pani w razie potrzeby nie odmówił mi swej pomocy...

— Oczywiście — niech pan działa, a ja dopomogę co w mej mocy.

Po tych słowach pożegnał Alinę, ściskając jej rękę mocno i kłaniając się jeszcze z progu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dziecku się ulżyło.

(Obrazek ze wsi).

Ażeby cię, ty psiawiaro, a cóżeś ty temu dziecku najlepszego zrobiła, pewnieś je potłukła, że tak krzyczy — wrzeszczała stara Wymazalina, biegnąc naprzeciw niedużej dziewczyny, bawiącej małe dziecko. — Jakbym cię złapała, tobym ci wszystkie kłaki na łbie wytargała, ty darmozjadzie, ty próżniaku, ty.... to tak dziecka pilnujesz?

— Ale mościewy, dyć ja mu nic złego nie zrobiłam, jeno się w ten bolący palec uraziło i płacze — uniewinniała się dziewczyna, tuląc dziecko do siebie, a w oczach jej dwie łzy zaświeciły.

— Nie pleć, nie kłam ty, bobym się roztargała; dawaj tu dziecko, ja je ucisze i zaniosę do twej gospodyni, spytam się, czy ona tobie na to daje jeść i chowa cię zadarmo, żebyś ty jej ani dziecka zabawić nie mogła, tylko je roztrącała!

To mówiąc, wyrwała Wymazalina z rąk dziewczyny dziecko i pobiegła z niem do domu Jana Czekaja. Dziewczyna się rozpłakała rzewnie i również podążyła za starą Wymazaliną.

Wymazalina znana była we wsi jako nader kłótliwa kobieta — pijaczka, ale przytem i sławna lekarka, a wielu słowom jej zupełna dawano wiarę, z czego się też ona bardzo cieszyła, bo ciągła zysk z ludzi, chociaż nikomu nic dobrego nie zrobiła. I teraz myślicie może, że ona z dobrego serca wzięła od dziewczyny dziecko i poniosła je do rodziców? Gdzie tam! Wiedziała ona dobrze, że Czekajowie zamożni grubo jej zapłacą za leczenie dziecka, ponieważ mieli to jedno i bardzo je kochali. Może kto powie: a przecież dziecko zdrowe, oho! Wymazalina znajdzie mu wnet chorobę!

Jak tylko ta nieszczesna kobieta wyrwała z rąk dziewczyny dziecko, biegła pędem drogą pod górkę, gdzie mieszkali Czekajowie. Dziecko krzyczało ciągle, bo jak je trzymała Wymazalina, to zlituj się Panie!

Już była niedaleko domu, gdy się jej noga o coś zawadziła i stara baba przewróciwszy się, przywaliła swym ciężarem na ziemi dziecinę. Lecz w jednej chwili się zerwała, złapała dziecko omdlałe na ręce i wpadła do chaty Czekajów.

— Och! och! och! mościewi kochani, o dla Boga... Jezu najukochańszy! — łkała Wymazalina zadyszana niby przestraszona...

— O Najświętsza Panienko! a cóż się to stało? — krzykła Czekajowa, porwawszy dziecinę na ręce i głośnym wybuchła płaczem.

— A dyć! o rany, mościewy, żebym była nie dopadła — Królowa nieba...

— Ale bójcie się Boga, co się to stało takiego dziecku! — przerwała Czekajowa prawie w rozpaczy, trzęsąc się cała.

— A dyć, mościewy kochani, byłaby wam na śmierć dziecko zabiła!

— Kto taki, — jęknie zniecierpliwiona matka — gadajcież przecie na miłość Boską, prędko mówcie!

— Ano któżby też taki, jak nie Tereska, co u was służy! trzeba zobaczyć, co się dziecku stało, bo to nie żarty!

— Ale co się stało? żeby was... — rzeknie rozgniewana Czekajowa — czy nie powiecie dzisiaj?

— To też dopiero zobaczę, bo się z dzieckiem przewróciła na kamień, i kto wie, czy nieprzetrącone.

Wkrótce przyszła z płaczem Tereska, a chociaż się biedna dziewczyna tłómaczyła, że to nie prawda, słuszność stanęła przy Wymazalinie.

Za chwilę przybył z pola Czekaj. Dopiero tu było krzyku i narzekania! Ojciec chciał zaraz z pobliskiego miasteczka przywieźć doktora, ale że słabo przytem obstawał, to też go Wymazalina przegadała.

— W Imię Ojca i Syna, a co wam doktór poradzi? zapisze wam jakie proszki, a czy to dziecku pomoże? ja się na tem znam lepiej jak doktór... co głupi doktór rozumie?

— A•przecież słyszałam, że się doktorzy uczą tego...

— Czego się uczą? ot, aby łgać z ludzi pieniądze. Niech panowie wierzą w doktorów, a my ich na wsi nie potrzebujemy! Ja wam tu zaraz powiem, co dziecku brakuje.

I pochwyciła dziecko niby to z miłości i z troskliwością a tak zdradliwie i ze złośliwą miną, że biedne krzykło jak oparzone. Potem kazała matce ze stołu sprzątnąć co było, zdjęła z dziecka koszulkę i położyła je nagie na zimnym stole najpierw do góry twarzą. Następnie kazała jej trzymać głowę dziecięcia, a sama wzięła nóżki, razem je silnie wyprężyła i przycisnąwszy jedną ręką do stołu, aby dziecko nie zdołało niemi władać, drugą ręką a raczej palcami zaczęła dziecko obmacywać po piersiach i brzuchu. W końcu wykręcała nogami dziecka na różne strony i rzekła:

— Z tej strony dziecku niewiele brakuje, ale zobaczymy na krzyżykach.

I wywrócili aż zesiniało od krzyku dziecko do góry plecami.

— O cudowna godzino! o rety! wpatrzciено wy się: a dyć ono ma zupełnie kuper złamany... w krzyżach kosteczki się pomieszały, trzeba najpierw smarować, a potem kuper podnosić.

— Ale bójcie się Boga, kobieto — przerwie Czekajowa — dyć aż chyba wieczorem, nie zaraz, boby dziecko mogło dojść z boleści i krzyku... Oj Boże, mój Boże kochany, patrzcie jakie czarne!

— Niech i tak będzie; połóżcie dziecko do kolebki — może się uciszy i zaśnie, to mu się polepszy. A teraz też poślijcie choć po jaką kapkę gorzaliny, bom się i ja strasznie zmitygowała, a ze strachu, to się aż do teraz trzęsę.

I wkrótce stała już na stole wódka... niewiele bo tylko pół kwarty. I zaczęła Wymazalina popijać do Czekajowej na to zmartwienie, zaczęły się pocieszać i narzekać, aż się i popłakały. Wmówiły też i w Czekaja kilka kieliszków i wkrótce ku wieczorowi już nic we flaszce nie było.

Dziecko nie chciało spać, tylko krzyczało, aż w końcu osłabione zasnęło; że było istotnie chore, każdy mógł na pierwszy rzut oka zauważyć.

— Niechże ten aniołek drobniuchny śpi — rzecze Wymazalina — jemu się tu polepszy zaraz, tylko go wysmaruję... Ale trzeba, żebyście zrobili smarowidło. Poszlijcie po kwaterkę samej okowity, nie żałujcie nakrajać sporo słoniny tłustej na rynkę i to usmażcie. potem wlejcie okowitę, niech się trochę upali i już koniec. Powiadam wam, że takie smarowidło zaraz do krzty pomoże.

Wkrótce też i wieczór zapadł, dziecko się zbudziło, smarowidło było już gotowe. Więc położono dziecko na gołym, zimnym stole do góry plecami, a Wymazalina zaczęła smarować.

Dziecko krzyczało w niebogłosy. Dlaczego? nie potrzebuję tłómaczyć. Wymazalina z Czekajową pocieszały dziecinę:

— Cicho malutkie, cicho... tak dziecko, tak... będzie dziecko zdrowe, będzie — gaga, oj gaga... moje tysiące...

— Oj rany Boskie! czemuż wy tak dziecku głowę do stołu przyciskacie? ja tu biedne ciszę, a wybyście je byli zadusili! — krzyknie matka.

— Co wy też pleciecie? czy mi to dziś pierwsze? alboż ja to dzisiejsza? No już! W Imię Ojca i Syna, tfe, tfe, tfe! Teraz sobie dziecko weźcie, odziejcie; prawda, jak dobrze wysmarowane, wygląda jak kluska.

Istotnie zgrubiało dziecko dość znacznie, tak je Wymazalina smarowidłem omaściła. Za to smarowidło dostała od Czekaja parę szóstek, a od Czekajowej pokryjomu dwa garnce pszenicy i obiecała przyjść nazajutrz zobaczyć, czy się dziecku ulżyło.

Łatwo się domyśleć, że po owem smarowidle dziecku się gorzej zrobiło przez noc, lecz Wymazalina pocieszała matkę, że to przejdzie po drugiem smarowaniu. Dalej tłómaczyła ta niedobra kobieta, że przed drugiem smarowaniem należy dziecku złamany kuper podnieść, boby bez tego smarowidło nie skutkowało.

I znowu położyli chore dziecko na stole, a Wymazalina w sposób nielitościwy to wykonywała. Po skończeniu tej czynności zaczęła z dziecka krew cieknąć, bo Wymazalina ostrym paznokciem pokaleczyła wewnątrz ciało nieszczęśliwego dziecka. Widząc to matka, zaczęła znowu narzekać:

— A cóżeście wy też najlepszego zrobili? z dziecka krew iść nie powinna!

— Nie bądźcież też głupią — odfuknie lekarka — a jakżebyście wy chcieli? przecież w dziecku niema wody tylko krew, toć i krew iść musi!

Teraz znowu wzięły się do smarowania. Oj wymęczyły też, wymęczyły dziecinę, ale jeszcze bardziej niż wczoraj oblepiły ową tłustością i okowitą caluteńkie ciało niemowlęcia.

— Wiecie wy co? — powiada teraz Wymazalina — idźcie do komory, weźcie niewielką garść pszenicy i przeliczcie ziarnka. Jak będze do pary ziarnek, to dziecko na jutro wyzdrowieje, a jak będzie nie do pary, to jeszcze musimy coś radzić. Ja tymczasem dziecko zawinę i uciszę.

Czekajowa zdziwiona wlepiła oczy w starą babę, ale wykonała polecenie i poszła do komory.

Zaledwie się Czekajowa oddaliła, skoczyła Wymazalina od stołu do skrzyni, gdzie były pieniądze, a otworzywszy wieko, zaczęła na wszystkie strony przewracać. Już zobaczyła pugilares i sięgła po niego... gdy w tej chwili dziecko spadło ze stołu na ziemię. Przerażona tym widokiem niegodziwa kobieta, rzuciła się ku niemu i położyła je prawie nieżywe znowu na stole, lecz i Czekajowa wpadła do izby.

— Matko Niebieska! — krzyknie — czy się tu co stało, bo gdym wzięła pszenicę do garści, strasznie czegoś zadygotała, wypadła mi z ręki.

— Oj moiściewy kochani, to już znak niedobry, dziecko nie pożyje długo.

— O Pani Częstochowska! ratujże nas ratuj! — krzykła Czekajowa — oj, takeście mi dziecko wyleczyli? Lecz czegóż ono tak ziemią zawalane?

A rzuciwszy okiem na otwartą skrzynię, wrzasła przeraźliwym głosem:

— O ty szelmo, złodziejko! wiem już wiem; ach Boże! pójdziesz ty do kryminału, tyś mi dziecko zabiła!

W tej chwili nadszedł Czekaj, lecz Wymazaliny już nie było; umkła natychmiast.

W kilka minut już byli oboje Czekajowie w drodze, jadąc z dzieckiem do lekarza. Dziecina leżała cicho zawinięta w chustkę na ręku matki, więc rodzice myśleli, że śpi, i spieszyli czemprędzej. Lecz jakież było zdziwienie ich i rozpacz, gdy odkryli u lekarza dziecko nieżywe.

KRONIKA.

Od Redakcji. Konkurs „Roli“, którego termin wyznaczyliśmy na 15 b. m., przedłużamy do końca stycznia b. r.

W polityce spokój. W kołach politycznych panuje jeszcze cisza świąteczna co jednak nie oznacza, by wogóle żadnych narad nie było. W ostatnich czasach naradzano się nad projektem nowej ordynacji wyborczej, któremu to zagadnieniu sanacja poświęca dużo uwagi. Podobno zagadnieniu poświęcone były narady kilku b. premjerów sanacyjnych z marsz. Świtalskim na czele. Dalsze rozmowy na ten temat odbędą się wkrótce. Między innemi nie rozstrzygnięto, czy nowa ordynacja ma być załatwiona w drodze dekretu na mocy nowych pełnomocnictw, które uchwali większość sanacyjna z końcem sesji, czy też uchwalenie nowej ordynacji wyborczej zlecone będzie nadzwyczajnej sesji parlamentarnej. Przeważa pierwsza koncepcja, ale wszystko zależy od tego, jak odniesie się do nowego projektu konstytucji marsz. Piłsudski. Ponieważ Marsz. Piłsudski ostatniego słowa nie wypowiedział, wprowadziło to sanację w niepewność.

Danina szkolna od starych i nowych domów. Przedmiotem obrad najbliższego posiedzenia Rady ministrów będzie głośny projekt ustawy o daninie szkolnej. W myśl projektu daniną szkolną będą obciążone wszystkie lokale znajdujące się na obszarze gmin wiejskich bez względu na to, czy znajdują się w budynkach starych czy też w nowowzniesionych, w częściach nadbudowanych, lub przebudowanych. Zwolnionemi od daniny majątkowej, w myśl projektu, będą lokale urzędowe przeznaczone na cele kościelne, oświatowe, dobroczynne itp., następnie jedno i dwuizbowe mieszkania, zajmowane przez bezrobotnych o ile nie mają sublokatorów, oraz takie same mieszkania inwalidów, wdów i sierot po inwalidach. Pozatem projekt upoważnia władze wymiarowe do zwalniania od daniny szkolnej płatników ubogich, którzy zajmują nie więcej, niż dwie izby. Podstawą obliczenia daniny szkolnej będzie stanowić ilość izb znajdujących się w lokalu według stanu z dnia 15 grudnia tego roku, który poprzedza rok podatkowy. Projekt przewiduje następujące stawki podatkowe: 2 zł. od każdej izby przy lokalach jedno i dwuizbowych, 3 zł. przy lokalach trzyizbowych, 4 zł. przy lokalach 5-izbowych w stosunku rocznym. Za izbę uznaje projekt każdego rodzaju pomieszczenia, jak pokoje mieszkalne, kuchnie, pokoje dla służby, sklepy, sale, pokoje biurowe itp. z wyjątkiem łazienek, spiżarni, werand, przedpokojów, korytarzy itp. pomieszczeń, które nie nadają się do zamieszkania, do wykonywania zawodu lub do prowadzenia przedsiębiorstwa. Projekt zawiera postanowienie, że danina szkolna nie może być obciążona żadnemi dodatkami państwowemi lub samorządowemi. Do wymiaru i poboru daniny szkolnej zostają powołane urzędy skarbowe. Danina będzie płatną do dnia 30 kwietnia każdego roku podatkowego, zaległe zaś należności będą podlegać przymusowemu ściągnięciu narówni z innemi podatkami państwowemi. Po uchwaleniu projektu przez Radę ministrów, zostanie on przedłożony Sejmowi.

Mieszkania zwolnione od opłat na Fundusz Pracy. Zgodnie z art. 26 ustawy o Funduszu Pracy, od opłat na ten Fundusz zwolnione są mieszkania 1-o izbowe i 2-izbowe. W związku z tem ministerstwo skarbu wyjaśniło, że przez mieszkania jednoizbowe w rozumieniu art. 26 ustawy o Funduszu Pracy uważać należy mieszkania o jednej izbie mieszkalnej, bądź też o jednej izbie wyposażonej w piec kuchenny, za dwuizbowe zaś jedno mieszkanie o jednej izbie mieszkalnej i osobnej kuchni, bądź też o dwóch izbach mieszkalnych bez kuchni.

Projekt ustawy o odsetkach w zaległościach podatkowych. Ministerstwo skarbu opracowało projekt ustawy o pobieraniu odsetek od zaległości w podatkach państwowych i innych daninach publicznych i rozesłało go celem zaopinjowania do wszystkich ministerstw i związków samorządu gospodarczego. Stopa procentowa odsetek zostaje ustalona na 1 proc. miesięcznie, stopę procentową odsetek ulgowych na 3/4 proc. miesięcznie, z wyjątkiem zaległości w podatkach: gruntowych, spadkowych i od darowizn, do których odsetki ulgowe ustalone są w wysokości pierwotnej, pół proc. miesięcznie.

Pożyczki dla powiatów zniszczonych powodzią. Komisja Komunalnego Funduszu Pożyczkowego przeznaczyła 350.000 złotych na pożyczki dla samorządów z terenów powodziowych dla przeprowadzenia inwestycyj. Z tego 25.000 zł. przyznano powiatowi nowotarskiemu i 30.000 zł. tarnobrzeskiemu.

Wymiana talonu od obligacyj. Ukazało się obwieszczenie ministra skarbu w sprawie wymiany talonu od obligacyj 5 proc. Pożyczki Konwersyjnej z 1924 r. na nowy arkusz kuponowy. Wymiana ta będzie przeprowadzona wobec przypadającego w dn. 2 stycznia 1935 r. terminu płatności ostatniego kuponu. Nowe arkusze kuponowe będą zawierały kupony na okres 1935 r. — 1945 r. W okresie od dn. 1 kwietnia 1935 r. do dn. 31 marca 1936 r. talony będą wymieniane przez kasy urzędów skarbowych oraz oddziały Banku Polskiego.

Zniżenie cła na owoce południowe. Od dnia 1 b. m. weszła w życie nowa taryfa celna od sprowadzanych owoców południowych. Dotychczasowe opłaty celne, naprzykład od wprowadzanych pomarańcz wynosiły wraz z opłatami manipulacyjnemi za 100 kg. 240 zł., obecnie cło będzie wynosiło tylko 48 zł. za 100 kg.

Winowajcy katastrofy kolejowej. W tych dniach zapadła decyzja co do terminu rozprawy przeciw sprawcom katastrofy kolejowej pod Krzeszowicami. Rozprawę wyznaczono na dzień 14 b. m. i potrwa ona około 2 tygodnie. Rozprawa budzi wielkie zaciekawienie.

Zuchwały napad bandycki w Chrzanowie. We środę koło godz. 9 wieczorem napadli bandyci na sklep jubilerski Chaima Reicha w Chrzanowie. W sklepie oprócz Reicha był również zegarmistrz Natan Frydfeld. Zamaskowani bandyci z rewolwerami w ręku wystrzelili parokrotnie do obu kupców i trafili Reicha w prawy bok. Odgłosy strzałów oraz krzyki napadających posłyszeli przechodnie, którzy poczęli gromadzić się przed sklepem. Bandyci zbiegli nic nie zabrawszy, wsiedli do dorożki i kazali się odwieźć do Trzebini. Policja w Trzebini, zawiadomiona o napadzie, wysłała na dworzec posterunkowego, który poinformował portjera Ciepałę, że nadejdą na stację podejrzani dwaj osobnicy, których należy zatrzymać. Bandyci zjawili się, a gdy Ciepała chciał wykonać polecenie posterunkowego, jeden z nich postrzelił go z rewolweru, poczem obaj bandyci zbiegli do lasu.

Krakowski wojew. urząd śledczy zarządził obławę, która doprowadziła do ujęcia przez komendanta posterunku P. P. w Chrzanowie, oraz strażnika miejskiego podejrzanego osobnika nazwiskiem Edward Krzeszowski, pochodzącego z Będzina. — Krzeszowski nie przyznał się, by strzelał w składzie Reicha, przyznał się natomiast do postrzelenia portjera kolejowego. W ciągu dalszego przesłuchiwania Krzeszowski zdradził swego wspólnika Antoniego Skrobota z Będzina. Przy Krzeszowskim, w czasie aresztowania go, znaleziono rewolwer i dwa magazyny z nabojami. Reicha poddano operacji w szpitalu, kuli jednak tkwiącej w okolicy klatki piersiowej, nie wyjęto. Stan Piotra Ciepały, przebywającego w szpitalu, nie jest groźny.

Toporem w głowę córki gospodarza. (P.). Nasz korespondent z Pruchnej donosi o nieszczęśliwym wypadku, jaki miał miejsce tamże w ubiegłym tygodniu. U gospodarza Gruszczyka w Pruchnej najęty rzeźnik zabijał świnie. Przy drugiem uderzeniu w głowę świni siekiera odskoczyła i uderzyła w głowę córkę gospodarza Annę, którą ów rzeźnik zawezwał do trzymania miski na krew. Uderzona padła natychmiast na ziemię. Odwieziono ją w beznadziejnym stanie do szpitala.

Maczuga zmarł. Z Rzeszowa donoszą, że dziś w południe zmarł w tamtejszem szpitalu osławiony bandyta Władysław Maczuga, który przed kilku tygodniami został skazany na karę śmierci za szereg mordów i rabunków, m. in. za udział

w zamordowaniu całej rodziny, za zabójstwo 2-ch funkcjonarjuszy policji państwowej i za szereg kradzieży, których widownią były powiaty środkowo-małopolskie. Maczuga w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia, przy pomocy innych więźniów, zdołał zbiec z więzienia. W czasie pościgu został przez strażników zraniony. Ujęto go wówczas i umieszczono w szpitalu. Jak się okazuje, rana bandyty była dość ciężka i dziś nastąpiła jego śmierć. Maczuga w więzieniu oczekiwał wyniku kasacji, którą wniósł jego obrońca. Termin rozprawy kasacyjnej Maczugi w Sądzie Najwyższym wyznaczony został na dzień 15 lutego b. r. Wobec śmierci Maczugi rozprawa się już nie odbędzie.

Czechura skazany na karę śmierci. W ubiegłą sobotę zapadł wyrok w sądzie okręgowym w Rzeszowie na Czechurę, mordercę naczelnika sądu grodzkiego w Tarnobrzegu śp. Stanisława Krzosa. Przysięgli mieli odpowiedzieć na 13 pytań. Czechura nie skorzystał z ostatniego słowa, powiedział, że nie będzie mówił, gdyż boli go głowa. Przysięgli po naradzie uznali, że oskarżony winien jest umyślnego zabójstwa i rabunku. Trybunał orzekł na zbrodniarza karę śmierci przez powieszenie oraz utratę praw obywatelskich i honorowych na zawsze. W uzasadnieniu wyroku sąd podniósł, że Czechura jest jednostką dla społeczeństwa straconą i niebezpieczną ze względu na to, że już poprzednio był 10-krotnie karany. Pozatem oskarżony targnął się na życie osoby, która była dla niego dobrodziejem i wyrządził krzywdę żonie śp. Krzosa, chcąc obciążyć ją udziałem w zbrodni. Obrońca skazanego zapowiedział wniesienie kasacji. Po obecnym wyroku oczekuje w Rzeszowie kary śmierci, oprócz Maczugi, który onegdaj zmarł, jeszcze bandyta Janusz, skazany za zamordowanie ks. Chmurowicza.

Za morderstwo na zabawie wyrok na 6 napastników. Sąd okręgowy w Tarnowie skazał za zamordowanie Wł. Christa w czasie zabawy strażackiej w Łące Szczucińskiej w czerwcu ub. roku St. Kupca na 5 lat więzienia, Wł. Łachuta, braci Kapelów na 2 i pół lat więzienia każdego, Wł. Sieronia na 2 lata i Sieronia A. na 3 lata więzienia.

Poszukiwany za 46 kradzieży. Onegdaj zatrzymano w Zakopanem niejakiego Stefana Wendziura, lat 29, włamywacza, poszukiwanego od dłuższego czasu przez policję polską i czeską. Dochodzenia przeprowadzone przez organa policyjne wespół z policją czeską ustaliły, że Wandziura dokonał przeszło 46 kradzieży z włamaniem.

Auto zabiło narciarza. W ubiegłą środę około godziny 11 przed południem jedna z autodorożek zakopiańskich, jadąca w stronę Morskiego Oka przy wymijaniu wozu z sianem w pobliżu Jaszczurówki stoczyła się do rowu skutkiem gołoledzi. Rowem tym, korzystając z zalegającego śniegu posuwała się właśnie grupa narciarzy. Staczający się samochód uderzył tak nieszczęśliwie 27-letniego Pawła Zylbeklanga z Warszawy, że ten w drodze do szpitala zmarł.

Konie padają jak muchy. W swoim czasie donosiliśmy o ciekawych wypadkach trucia bydła przez handlarzy żydowskich koło Radomska. W wyniku dochodzeń okazało się, że handlarze podrzucali bydłu zatrute ziemniaki, a następnie chore sztuki nabywali za bezcen od wieśniaków. W ostatnim czasie podobne wypadki dają się zaobserwować na terenie powiatu piotrowskiego. Oto od niedawna sfery rolnicze poruszone są do głębi masowem padaniem koni w gminach Krzyżanów, Uszczyn i Szydłów. Jak dotąd, w wymienionych miejscowościach padło w ostatnim czasie 108 koni. Charakterystyczne jest, że padają przeważnie konie najlepiej utrzymane i dobrze odżywiane. Rolnicy okolicznych miejscowości twierdzą, że nieznana szajka systematycznie zatruwa konie. Sprawca, jak dotąd jest nieznany. W wyniku wstępnego dochodzenia stwierdzono, że konie zatrute zostają podczas postoju na jarmarkach. W związku z tem w ub. piątek znaczna liczba gospodarzy przybyła na jarmark pieszo, nie chcąc narażać koni na zatrucie.

150 zł. za mórg ziemi. W tych dniach został sprzedany z licytacji jeden z największych majątków ziemskich. Starzenice, w województwie łódzkiem. Majątek ten o obszarze 1300 morgów ziemi i lasów został sprzedany na licytacji za 200.000 złotych. Majątek ten znajdował się w posiadaniu rodziny Łubieńskich przez 30 lat.

Przebił ciałem dwa dachy. Niezwykłą przygodę przebył Mieczysław Rosenstrauch w Warszawie. Zakładając antenę na dachu, poślizgnął się on i upadł na szklany dach, znajdujący się nad mieszczącym się w owym domu hotelem. Pod ciężarem Rosenstraucha dach pękł i Rosenstrauch upadł na drugi, wewnętrzny dach szklany, który również złamał się pod jego ciężarem. Rosenstrauch wylądował wreszcie na korytarzu hotelu. Szczęśliwym trafem poza drobnemi potłuczeniami Rosenstrauch nie doznał żadnych obrażeń, mimo, że przebił sobą dwa dachy.

Skarb w dziupli starej sosny. W czasie karczowania lasu państwowego w gminie korytnickiej, powiatu włodzimierskiego robotnicy znaleźli w zwalonym pniu starej sosny skarb, składający się z większej ilości starych polskich monet srebrnych, oraz monet z epoki napoleonskiej i ponapoleońskiej. Robotnicy podzielili się znalezionym skarbem, tak, że policja zdołała odszukać zaledwie 40 monet. Są to złote polskie z wizerunkiem króla Fryderyka (ok. 1817—1825), grosze polskie z lat 1808—1833 z wizerunkiem Aleksandra I. oraz orła rosyjskiego z orłem polskim w minjaturze na tarczy herbowej m. st. Warszawy. Monety zostaną odesłane do Muzeum Narodowego.

Dynamitem wysadził się w powietrze. W niezwykły sposób popełnił samobójstwo 28-letni bezrobotny górnik z Klimontowa w b. Kongresówce, St. Kucharz. Udał się on do nieczynnych kamieniołomów, gdzie przymocował sobie do głowy ładunek dynamitu, poczem podpalił lont. Siła wybuchu była tak wielka, że głowa rozerwana została na strzępy, a tułów został strasznie zmasakrowany Przyczyną samobójstwa były nieporozumienia z żoną, z którą Kucharz nie żył od kilku miesięcy.

Trzy ofiary szaleńca. Z Augustynowa donoszą, że mieszkaniec Lipówki niejaki Rostecki zastrzelił 22-letnią siostrę, sąsiada, oraz zranił ciężko 60-letnią matkę staruszkę, przyczem usiłował zabić drugiego sąsiada. Sprawca, który dokonał zbrodni w szale zemsty, zbiegł. Liczba ofiar wynosi 3, gdyż w międzyczasie matka zmarła wskutek ran.

Likwidacja szajki świętokradców. Władze bezpieczeństwa zlikwidowały w Krzemieńcu szajkę włamywaczy, która okradała cerkwie i kościoły w pow. krzemienieckim. Aresztowano 5 osób. W czasie aresztowania niejaki Wyszwaniuk stawił opór wywiadowcom, usiłując jednego z nich rozbroić. Podczas szamotania został lekko ranny st. przod. Kaszuk. — Przy aresztowanych znaleziono część łupu.

Z trupem męża w pokoju przez kilka dni. W mieszkaniu małżonków Sochalów w Lublinie, rozegrała się ponura tragedja. Na poddaszu w nędznej izbie leżała od dłuższego czasu chora 57-letnia K. Sochalowa. W wigilję Bożego Narodzenia mąż jej uległ zatruciu po wypiciu butelki denaturatu i zmarł. Trup Sochala pozostawał w izdebce, w której leżała chora, przez parę dni. Dopiero w niedzielę tragedja Sochalów została przypadkowo odkryta. Sochalową znaleziono w stanie nieprzytomnym.

Tragiczne skutki nieostrożnej manipulacji bronią. W mieszkaniu Fr. Garbickiego w Bydgoszczy zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, który pociągnął za sobą śmierć człowieka. Szeregowiec Garbicki zaprosił do siebie kolegów, m. in. Klaczyńskiego Wacława. W czasie rozmowy Garbicki pokazał gościom pistolet, który stanowił własność jego ojca. Pistolet który był nabity wypalił w czasie manipulowania i kula ugodziła w brzuch Klaczyńskiego. Nieszczęśliwy zmarł mimo natychmiastowej pomocy i ratunku po 15 minutach.

Truła dzieci eterem. Przed sądem w Rybniku, stanęła żona robotnika, Erminja Wuwer, oskarżona o to, że w swojem mieszkaniu przechowywała większą ilość eteru, wyrobu niemieckiego, który otrzymywała od przemytników i w drobnych ilościach odsprzedawała go, zarabiając około 40 zł. tygodniowo. W czasie rozprawy, która zakończyła się skazaniem Wuwerowej na sześć miesięcy więzienia ujawniło się, że Wuwerowa sprzedawała w małych ilościach eter dzieciom szkolnym, które piły tę truciznę w jej mieszkaniu.

Zamiast szkoły.... areszt. Rada gminy Turza (pow. mławski) postanowiła uchwałą z dnia 10 grudnia ub. r. za sumę 2000 zł., przeznaczoną w budżecie gminy na budowę szkół powszechnych, zakupić dom na areszt gminny. Mieszkańcy sąsiednich wsi Kęczewa i Lipowca zwrócili się do starosty w Mławie z prośbą o unieważnienie uchway Rady gminnej. Jednocześnie powiadomiono o tem inspektora szkolnego w Ciechanowie i Radę Szkolną Powiatową w Mławie.

Statek zatonął w porcie gdyńskim. Na nabrzeżu wilsonowskiem w Gdyni wskutek wadliwego przycumowania zerwał wał statek żaglowo-motorowy „Wanda" i zatonął po drugiej stronie basenu przy nowobudującem się molo. Ludzie znajdujący się na statku uratowali się, czepiając się pali, skąd ich zdjęła szalupa ratownicza. Statek „Wanda" był obłożony aresztem i stał w porcie od czasu niefortunnej ekspedycji grupy żydów z Łodzi do Palestyny.

Eksport polskich towarów do Afryki. 29-go grudnia ub. roku odszedł z Gdyni statek „Poznań" z ładunkiem 2981 tonn towarów przeznaczonych dla Liberji i Złotego Wybrzeża. Statek zabrał 1.000 tonn węgla, 900 tonn cementu, 240 tonn żelaza handlowego i mniejsze partje wyrobów z żelaza, manufaktury, cukierków, pierników i wiele innych wyrobów przemysłowych. Statek zawinie do portów w Freetown, Monrovii i być może jeszcze kilku innych przystani morskich. „Poznań" zabrał towary, które miały być wysłane na zakupionym niedawno przez Ligę Morską i Kolonjalną żaglowcu „Elemka", a który podczas podróży do Gdyni doznał uszkodzenia i znajduje się obecnie w naprawie w stoczni gdańskiej.

Na wybrzeżu polskiem koszą ozimine Na wybrzeżu polskiem rozpadały się deszcze, na morzu zaś wisi gęsta mgła, której pułap sięga 150 metrów. W niektórych okolicach powiatu morskiego rolnicy kaszubscy przystąpili do koszenia ozimin, które na skutek ciepła bardzo wysoko urosły.

Ośmioro dzieci pod taflą lodu. W jednej z wsi pod Bytomiem, na Śląsku niemieckim, wskutek załamania się lodu na stawie, wpadło do wody ośmioro dzieci. Uratowano 6, dwoje zaś utonęło wraz z 67-letnią kobietą, która z narażeniem życia ratowała tonących.

5 drapieżników zbiegło z cyrku. Ludność Pecs i położonych w pobliżu tego miasta miejscowości węgierskiej w górach Metcek żyje od pewnego czasu w ustawicznej trwodze. W lasach zagnieździły się drapieżne zwierzęta, które czynią straszne spustoszenia wśród bydła. W ciągu ostatnich dni zginęło przeszło 80 sztuk bydła. Najbardziej ucierpiała miejscowość Szaszvar. Ludność twierdzi, że z wędrownego cyrku zbiegło kilka sztuk dzikich zwierząt, które ukrywają się w okolicznych lasach i górach. Stwierdzono, że istotnie w lasach znajduje się lew i 4 tygrysy, które uciekły jednemu z przedsiębiorców cyrkowych.

Mrozy w Rosji sowieckiej. Silna fala mrozów ogarnęła Syberję. — W Jakucku termometr wskazywał —52 st. Celsjusza. W kraju nadwołżańskim temperatura wynosiła —18, w Karagstanie zaś —33. Z Nowosybirska donoszą, że w południowej części Syberji przeszedł cyklon śnieżny. W Barnaule widoczność była tak mała, że na 4 metry nie można było niczego zauważyć. Tory na kolei tomskiej zostały zupełnie zasypane śniegiem. — Władze kolejowe wysłały kilka tysięcy robotników, celem odkopania torów. W Nowosybirsku 25 b. m. temperatura wynosiła —42 st. Celsjusza.

Olbrzymie ofiary ruchu motorowego w Anglji. Statystyka, ogłoszona przez ministerstwo komunikacji w Anglji wykazuje, iż w roku 1934 na ulicach i szosach Wielkiej Brytanji wypadki w ruchu motorowym spowodowały 7.200 wypadków śmiertelnych i 225 tys. wypadków poranień i obrażeń.

Rozstrzelanie 14 sowieckich spiskowców. Pomimo tyranji, jaką w swych rządach zaprowadzili bolszewicy, nie czują się oni tak pewni swej egzystencji, jakby to się wydawało. I tam grupują się ludzie, których działaniem jest usunięcie zapomocą kuli ludzi, będących u steru rządów, celem zmiany ustroju rządów w Rosji. Ostatnio rozstrzelano wysokiego urzędnika sowieckiego Kierowa, a władze sowieckie wykryły tę tajną organizację, z której ręki padł Kierow i uwięziły członków, z których 14 zasądzono na karę śmierci i zaraz rozstrzelano. Kursują też pogłoski, że byli członkowie rządu sowieckiego Zinowjew i Kamieniew, należący do tejże organizacji zostali również rozstrzelani, albo nocą wywiezieni do północnej Syberji.

11 rybaków uniesionych przez krę. Na Morzu Azowskiem pod Taganrogiem burza rozdarła powłokę lodową, na której znajdowało się 11 rybaków i 2 konie. Kra została uniesiona przez prąd na pełne morze. Dla ratowania uniesionych na krze wysłano łamacz lodu i samoloty. Jednemu z lotników udało się odnaleźć część ofiar niezwykłej katastrofy na ławicy piasku. Zapomocą spadochronu lotnik zrzucił im środki żywności i ciepłą odzież Za wskazówkami lotnika pospieszył z pomocą rybakom łamacz lodu i zabrał ich na pokład. Również resztę rybaków zdołano uratować dzięki wysiłkom łamacza lodów i samolotów.

Plebiscyt w Zagłębiu Saary. W dniu 13 stycznia b. r. odbędzie się w Zagłębiu Saary głosowanie, które ma zadecydować, czy górniczy bogaty ten teren, będzie należeć do Niemiec czy do Francji. Najrozmaitsze wybryki Niemców na tym obszarze zmusiły Ligę Narodów do wysłania do Zagłębia Saary różnych wojsk, jak angielskich, holenderskich, włoskich, szwedzkich, które mają za zadanie nie dopuścić do teroru przed i przy głosowaniu, którym Niemcy zwykle się posługują w takich wypadkach.

Handel światowy coraz mniejszy. Zgodnie z obliczeniem Ligi Narodów, przywóz światowy w okresie od 1 stycznia do 1 listopada ubiegłego roku wyniusł 9.505 miljonów dolarów w złocie. W porównaniu z takim samym okresem 1933 roku import światowy wykazał spadek o 416 miljonów dolarów w złocie. Jednocześnie wartość eksportu światowego obliczona została na 8.862 milj. dol. w złocie. W porównaniu z okresem pierwszych 10 miesięcy ub. roku eksport światowy wykazał zmniejszenie o 317 miljonów dolarów w złocie.

Konferencje w Rzymie. Do Rzymu przybył francuski minister spraw zagranicznych Laval, celem nawiązania porozumienia w sprawach europejskich, interesujących oba te państwa, a przedewszystkiem w sprawie niepodległości Austrji. Ramy porozumienia francusko-włoskiego, które ustalono przed wyjazdem ministra Lavala do Rzymu, przedstawiają się jeżeli chodzi o sprawy austrjackie jak następuje:

1) Francja i Włochy, oświadczając swą przyjaźń dla Austrji oraz chęć utrzymania jej niepodległości, zobowiążą się do wzajemnej konsultacji na wypadek, gdyby niepodległość Austrji została nagle zagrożona. 2) Francja, Włochy i Austrja podpisać mają protokół w sprawie austrjackiej. Protokół ten będzie otwarty i zapraszać ma sąsiadów Austrji, aby przystąpili do paktu o wzajemnej nieinterwencji w sprawy wewnętrzne. Do paktu takiego, względnie protokółu miałyby zostać zaproszone również i inne państwa jak Polska i Rumunja. Panuje jednak we włoskich kołach politycznych opinja, że Polska, która wogóle nie brała udziału we wszystkich rokowaniach dotyczących Austrji, zapewne nie skorzysta z zaproszenia i do paktu nie przystąpi. Uchodzi teraz za rzecz pewną, że Niemcy na Austrję nie napadną i terytorjalnie przez zabór Austrji się nie wzbogacą.

List do djabła. Koło Bożego Narodzenia wiele dzieci pi-

sze listy, które zaadresowane są, jak wiadomo, do Pana Boga, lub św. Mikołaja. Ale nie zdarzyło się jeszcze, ażeby taki list zaadresowany był do djabła, księcia wiecznych ciemności. Zdarzyło się to obecnie w Paryżu. Ponieważ nawet w Paryżu nie znają adresu djabła, list otworzono i znaleziono w nim następujący tekst: „Kochany dobry djable! Czy nie zechciałbyś zabrać sobie na Boże Narodzenie moją guwernantkę? To będzie moja najpiękniejsza gwiazdka". Podpis był nieczytelny.

Emigracja rolników z Polski do Brazylji i Argentyny. W roku bieżącym przeprowadzona będzie wielka emigracja rolników z Polski do Brazylji i Argentyny. Powołane władze zakończyły rokowania ze stowarzyszeniami kolonizacyjnemi, które otrzymały od rządów obu państw poważne koncesje na parcelacje olbrzymich obszarów. Obszary te znajdują się w stanie Parana a w Argentynie w stanach Cordoba i Tucuman. W pierwszej połowie rb. wyjedzie około tysiąc rodzin.

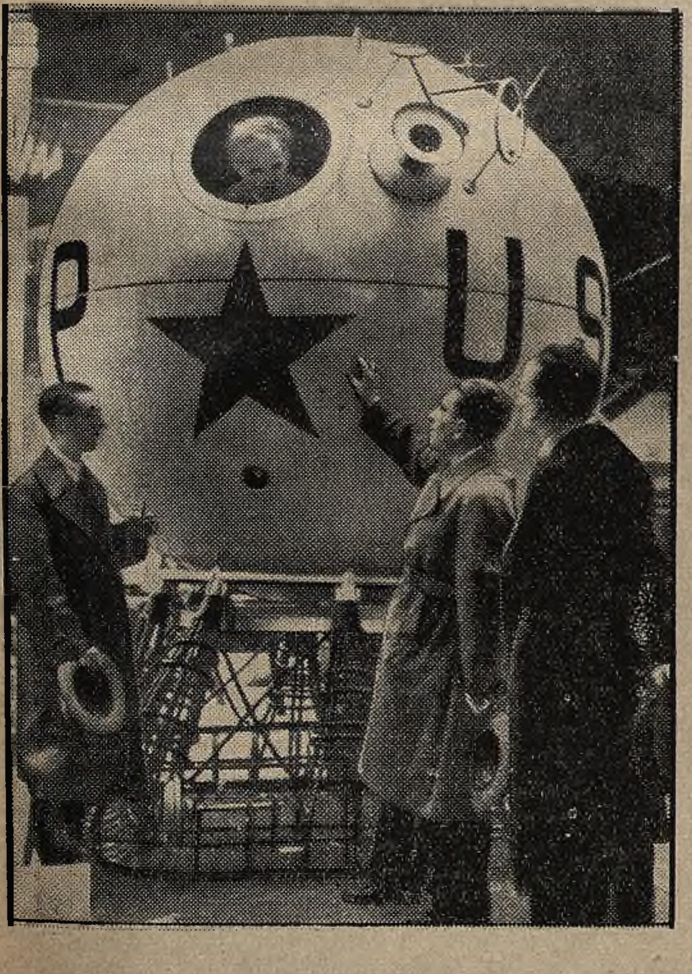
Wesołe noce spadkobiercy. Robotnik rolny Henryk Regard z Sebourga, dowiedział się przed kilkoma dniami, że po jakimś wujku odziedziczył 30 tysięcy franków. Udał się więc do Arras i podjął u notarjusza 30 nowiutkich i szeleszczących papierków. Regard nigdy nie widział naraz tak dużej sumy, więc cośkolwiek stracił głowę. Chodził od knajpy do knajpy, pił zdrowo i fundował też przygodnym znajomym. Po kilku dniach majątek jego zmniejszył się o jedną trzecią część. Regard odszukał swego przyjaciela Huberta Dufossez i postanowił z nim spędzić święta w Douai w takim domu, „który jest otwarty tylko w nocy, a w dzień jest zamknięty". Zabawa była zapewne bardzo wesoła, bowiem gdy spadkobierca 30 tysięcy ocknął się, zauważył, że z jego majątku nie pozostał mu ani jeden frank. Zmartwiony udał się najpierw do komisarjatu, gdzie opowiedział o swej przygodzie, a następnie wpisał się na merostwie na listę bezrobotnych.

Katastrofa okrętowa w porcie nowojorskim. Parowiec szwedzki „Jane Christensen" zderzył się w porcie nowojorkim z parowcem „Lexington", który kursował na linji Nowy Jork — Rhode Island. Parowiec „Lexington" zatonął w 10 minut po wypadku. Na pokładzie znajdowało się 130 pasażerów i 52 ludzi załogi. 5 osób utonęło, resztę wyratowano.

Dobrana para. Niejaka Mildred Monti w Nowym Jorku, 21-letnia i ważąca 400 funtów, wzięła sobie za męża karzełka, 35-letniego Jacka Glicksteina, ważącego 58 funtów, a mierzącego 3 stopy i 1 cal wysokości.

Zgon księdza na stopniach ołtarza. W kościele w Jeumont (Nord) celebrował Mszę św. ks. proboszcz miejscowy Delesive, liczący 64 lat. Nagle ksiądz osunął się na stopnie ołtarza i pozostał bez ruchu. Nadbiegli ludzie. Zatelefonowano po lekarza. Ks. Delesive w szatach liturgicznych spoczywał bez ruchu i bez życia. Wszelkie wysiłki pobudzenia serca do czynności okazały się bezskuteczne.

Na wystawie lotniczej w Paryżu.



Ogólne zainteresowanie wzbudzała gondola balonu stratosferycznego, w którym lotnik Prokofjew osiągnął wysokość 19.000 metrów. Wzbudza ona zaciekawienie nie tyle wyglądem zewnętrznym, ile wewnętrznym urządzeniem, które cechuje właśnie tę gondolę sowieckiego balonu stratosferycznego.

RZECZY CIEKAWE.

Szczęśliwy synek maharadży.

Najsłynniejszym zakładem wychowawczym w Anglji, gdzie wychowuje się typy angielskich inteligentów, jest — jak wiadomo — „Eton College" koło Windsoru. Wychowankowie tego zakładu należą do nielicznego grona wybrańców losu.

Ażeby móc nosić cylinder i czarny żakiet tego zakładu, trzeba zgłosić prośbę o przyjęcie do zakładu natychmiast po przyjściu na świat. Tak wielki jest wybór. A nawet i wtedy przyjęcie jest wątpliwe, ponieważ prawo pierwszeństwa mają dzieci ojców i dziadków, których nazwiska wyryte są na stołach i ławkach zakładu. Zakład ten jest poprostu wylęgarnią najbogatszych obywateli brytyjskich, a przyjęcie nowego wychowanka do zakładu jest ogólnie w Anglji omawiane.

Najmłodszym wychowankiem kolegjum w Eton jest mały synek maharadży indyjskiego, następcy tronu z Heiderabad. Chłopiec urodził się w prawdziwej złotej kołysce. Obejmie on kiedyś rządy nad 14 miljonami swoich poddanych i odziedziczy spadek w zawrotnej wysokości 4 miljardów złotych. Mały chłopak prócz 4 miljardów złotych i podatków swoich poddanych posiadać będzie słynne kopalnie złota w Golconda i 50 marmurowych pałaców, zamków i twierdz.

Kieszonkowa maszyna do pisania.

Inżynier Paul Garde w Insbrucku skonstruował maszynę do pisania, dwunastokrotnie mniejszą od normalnej maszyny walizkowej. Maszynę konstrukcji inż. Garde można łatwo zmieścić w kieszeni. Do maszyny inż. Garde skonstruował specjalne rękawiczki o palcach cienko zakończonych albowiem ludzki palec jest za duży do klawiszy tej minjaturowej maszyny.

Stały spadek ludności i ilość Polaków w Czechosłowacji.

Wielkie zaniepokojenie wywołuje w opinji publicznej w Czechosłowacji stały spadek przyrostu naturalnego ludności. — Przyrost naturalny w Czecho-

słowacji, wynoszący jeszcze w roku 1930 — 22 tysiące, spadł w roku 1931 do 106 tysięcy, a w roku 1932 do 102 tysiące, w r. 1933 wreszcie do 82 tysięcy.

Według wyników ostatniego spisu ludności w Czechosłowacji przebywa 249.971 obcych obywateli. Z ogólnej ich liczby najwięcej bo 74.248 posiada obywatelstwo polskie, 45.688 austrjackie, 40.174 niemieckie itd. Największe skupienie emigracji polskiej istnieje na Morawach i Śląsku, gdzie zamieszkuje 29.147 Polaków i na Słowaczyźnie, gdzie mieszka 27.122.

Dla ojczyzny ukrywały swoją płeć.

W Niemczech znajduje się 421 niewiast odznaczonych Żelaznymi Krzyżami za walkę na froncie. Niewiasty te w męskiem przebraniu, udały się na front, gdzie walczyły w pierwszych szeregach. — Prawdziwa ich płeć została wykryta dopiero po zranieniu walczących i odesłaniu do szpitala.

Lasy na dnie morza.

Niedawno doniosły dzienniki niemieckie o odkryciu przez rybaków pomiędzy Rugją a wybrzeżami Szwecji, lasu sterczącego pionowo na dnie Bałtyku i widzianego zupełnie wyraźnie podczas pogody, choć głębokość morza wynosi w tem miejscu 40 metrów.

Wiadomość jednak sama o istnieniu takiego lasu podmorskiego nie jest bynajmniej nowością. — Istnienie bowiem takich lasów stwierdzono już wielokrotnie tak na morzu Bałtyckiem jak i na Północnem. W danym razie — stwierdza prof. Gotham z pruskiego instytutu geologicznego — godną jest uwagi tylko znaczna głębokość, na jakiej się ten las znajduje.

Po okresie lodowym dno morza Bałtyckiego i Północnego najpierw podniosło się tak, że utworzyło ląd stały, a potem znów się zapadło, pociągając za sobą w głębinę całą roślinność, jaka na tym lądzie wyrosła. Toteż na obu morzach owe lasy podmorskie są zjawiskiem dość częstem. Składają się zaś prawie wyłącznie z drzew iglastych, drzewa bowiem liściaste jako mniej wytrwałe na działanie wody, uległy w ciągu tysiącleci rozkładowi.

Niektóre z tych lasów położone są tak płytko, że przy znacznym odpływie morza ukazują się na jego powierzchni ich szczyty. W pobliżu zaś wyspy Helgoland wyłonił się z morza nawet cały taki las. Obumarłe pnie drzew sterczą wśród piasków.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek Lipiński** w K.: Utwory na konkurs otrzymaliśmy. — **Jan Czmer** w B.: Utwór na konkurs otrzymaliśmy. — **Eddie Rickardo**: Z nadesłanej próbki wnioskujemy, że utwory wzmiankowane dla „Roli" się nie nadają. — **B. H.** z Bielska: Maciuś za ładny liscik z obrazkami i życzeniami serdecznie dziękuje, tylko mu trochę markotno, bo oprócz tych kopy życzeń w liście nic więcej nie znalazł. Powiada, że nieposmarowane życzenia się nie spełniają. — **Edmund Cyz** w B.: Nadesłany logogryf zamieścimy. — **Jan Dyrda** w St.: Prenumerata w roku ubiegłym była zapłacona całkowicie. — **Władysław Wróbel** w Sk. Cz.: Rocznik z r. 1933 jeszcze posiadamy. Po nadesłaniu 6 zł. 80 gr. zaraz wyślemy. Czek posłaliśmy Panu. — **Franciszek Jordanowski** z B. F.: Do zagadek potrzebne są koniecznie zarazem i rozwiązania, inaczej zamieścić nie możemy. Na odgadywanie czasu nie mamy. — **Jan Płaszcz** w K.: Rocznika „Roli" z r. 1929 już nie posiadamy. Nadesłane pieniądze wpisaliśmy na prenumeratę. Wzajemnie pozdrawiamy Pana. — **Feliks Kański** w R.: Za przysługę serdecznie dziękujemy i polecamy się nadal. Wzajemnie też pozdrawiamy Pana.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożyła Studentka z Tarnowa).

■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Spinka.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Owoc.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Obojętność.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Kościół mahometański
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Pieniądz.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Szyderstwo.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Ptak.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Zbiór ustaw.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Poemat Homera.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Ustęp w poemacie.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Upiór.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Złudzenie.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Łódka.
■ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ ⊛ Kłótnia.

W miejce kratek czarnych i kółeczek wstawić litery o podanem obok znaczeniu.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poety polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył „Ben Chorin").

I.

Pierwsze oraz pół drugiego
To jest coś lotnego,
Nie żadna niemiecka,
Lecz litera grecka
Jest drugie i trzecie;
Lecz gdy jeszcze nie wiecie,
To całość, mówię wam,
Prawie codzień w ręku mam.

II.

Pierwsze i drugiego pół
To gorąca jest rzecz,
Drugie to jest tylko dół,
Trzecie zaś litera.
Całość to nie żadna ciecz,
Lecz próżnię zawiera.

III.

Pierwsze z drugiem gdy masz,
Wcale młodym się zdasz
Drugie zaś i trzecie
Źle jest mieć na grzbiecie,
Pół drugiem małe dziecię
Na odchodnem żegna cię.
Trzecie to znów jest litera,
Całość fosfor i siarkę zawiera.

3. Układanki geograficzne.

(Ułożył Adam Galer z K.).

Drzewo + więzienie = miasto.

Przystań na morzu + samogłoska + Francja po łacinie = miasto w Europie.

Zabawy + miara powierzchni + samogłoska = wyspy.

Rzeka + wie inaczej + spółgłoska = miasto w Polsce.

Ukrop + zaimek = rzeka w Polsce.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki w nagrodę.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 17 b. m.

Znaczenie zagadek z Nr. 1 „Roli": 1. Uzupełnianka: Bergamota, załamanka, szarowaka, tarożniok, awangardą, darmozjad, czerniawa, kałamajka, gramatyka. 2. Szarady: Kraszewski, kulawa, prenumerata, turnieje. 3. Bilety wizytowe: Generał brygady, Kazimierz Wielki.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Andrzej Cieplik z K., Antoni Poloczek z P., Józef Pliszka z W., Karol Głowacki z J., Franciszek Kamiński z Ś., Jan Żelazny z G., i S. Buczek z W.

Nagrody otrzymali pp.: Antoni Poloczek z P. i Karol Głowacki z J.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Feliks Kowalczyk. W drukarni »Renaissance« w Krakowie.

Odbyło się ciągnienie dolarówki. Wygrane padły na następujące numery:

12.000 dolarów na nr. 100080.

3000 dolarów na n-ry: 310680 1431004.

1000 dolarów na n-ry: 626551 779428 358909 830532 1361251 1263475 531139.

500 dolarów na n-ry: 1423215 1273476 1106872 1420318 420601 560158 1379895 806994 103511 406056.

100 dolarów na n-ry: 76287 309739 602998 1276292 974661 902028 541556 1064016 930003 258125 916380 944537 1028641 567191 832330 1227161 1035366 1327325 751149 473208 932620 1144030 487166 774312 732839 306568 803038 956844 1021007 1142554 1293622 793203 3634 719569 462017 1225663 52297 1206316 912242 250944 583231 851781 146822 222674 699521 223835 353376 107040 44091 50778 827868 1384312 1276323 1420507 142083 109964 1435386 1166348 1279260 8414 1478445 15356 1194348 889329 1179336 8273389 1178281 240225 451707 1190820 1299077 156253 886920 1390032 131009.

W myśl przepisów lekarza.

— No i cóż żono, cóż ci doktór zalecił?

— Powiedział, że powinnam wyjechać w góry. Każde wejście w górę doda mi parę lat życia.

— Tak? W takim razie moja droga weź klucze, idź zaraz na górę i zrób porządek na strychu.



Tajemnica.

Żylak spotyka Głąbka:

— Panie Głąbek, muszę się panu do czegoś przyznać. Pan mnie wczoraj zaprosił, abym spędził kilka godzin w gronie pańskiej rodziny. Ja też to uczyniłem. Ale ja prócz tego potajemnie zaręczyłem się z pańską córką. Proszę mi wybaczyć.

— Co mam wybaczyć młody człowieku? Przecież ja pana na to zaprosiłem!